13

Stron 12

Cena 25 zł

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI — Łódź, 30 stycznia 1949 r. — Nr 5 (184)

W NUMERZE
między innymi:

Jan Maria Gisges

PUSZCZA EMERYKA

(czyli znów sprawa organizacji kultury na prowincji)



Franciszek Wielopolski, wojewoda krakowski
Muzeum Świętokrzyskie w Kielcach

W ostatnich miesiącach ubiegłego roku dokonały się poważne zmiany w polityce kulturalnej. Zjednoczenie klasy robotniczej i umocnienie pozycji proletariatu, który **stawia na jednym z pierwszych miejsc zagadnienie kultury** obok podniesienia poziomu oświatowego i ekonomicznego wsi daje rękojmię, iż zagadnienia te będą konsekwentnie realizowane i że w niedługim czasie nastąpi poważna niwelacja różnic pomiędzy wsią i miastem. Różnice te dotychczas występowały jeszcze w ostrej formie w zakresie kultury i dziś istnieją niewątpliwie. Dobrze o tym wie działacz oświatowo-kulturalny. Niemniej przemiany w omawianej dziedzinie ilościowe i jakościowe w ostatnim trzechleciu są bardzo znamienne i myślę, iż należy im poświęcić kilka uwag. Za przedmiot tych szkicowych rozważań biorę Kielecczyznę, gdzie pracuję, a którą już kilkakrotnie w prasie społeczno-literackiej zaatakowano. Uwagi moje należy traktować jako próbę podsumowania dokonanych i dokonywających się zmian na prowincji. Będą one również w pewnej części odpowiedzią na insynuacje Juliusza Nowak - Dłużewskiego, zamieszczone w noworocznym numerze „Odry".

Kielecczyzna, którą zamieszkuje 1.717.000 mieszkańców, jest regionem rolniczym o dużym bogactwie lasów przy [illegible] rozwijającym się górnictwie. [illegible] najbliższej przyszłości ziemia ta zmieni oblicze pod wpływem rozwoju przemysłu, a że to nastąpi — dowodem niech będą sygnały, jakimi są — Starachowice, gdzie już produkuje się samochody ciężarowe, Ostrowiec Świętokrzyski, gdzie przystąpiono do produkcji wagonów, kopalnie pirytu koło Słupi Nowej, kopalnie gipsu w Wójczy w pow. buskim, około 30 ośrodków maszynowych rolnych itd. W związku z rozrostem miast przemysłowych, które powiększą się w okresie sześcioletnim o pokaźne tysiące robotników, odciążona zostanie przeludniona jeszcze uboga wieś tutejsza, zwłaszcza w powiatach kieleckim, kozienickim, iłżeckim.

Kielecczyzna w niedalekiej przyszłości stanie się regionem o zmienionej strukturze gospodarczej, a zatem i kulturalnej. Przy wzmożonej działalności klasy robotniczej i radykalnej chłopskiej — zmniejszy się rola i znaczenie kliki kapitalistów, drobnomieszczaństwa i klerykałów, o której trafnie pisał Jaźdżyński we „Wsi" (Nr 43-172), a która dotychczas urabiała w wielu wypadkach tzw. opinię publiczną. Zmiana ta zapewnia pomyślny rozwój regionu w prostej linii do socjalizmu.

Wróćmy do historii organizowania kultury. Lata 45—46 to okres pospiesznego porządkowania zanieczyszczonego podwórka — w oparciu, zwłaszcza niektórych działaczy na terenie miasta Kielc, o tę tradycję, która ukazywała szlachetczyznę czy mieszczaństwo, zapatrzone w ideały kapitalistycznego zachodu. To trzeba sobie szczerze powiedzieć. Do tej „muzealnej" przedwrześniowej tradycji, wydaje się, nawiązywała polityka pierwszej i drugiej dyrekcji muzeum kieleckiego, która pokazywała do niedawna jeszcze w ogromnych pięciu salach tylko portrety szlachetków, regionalnych magnatów, meble, wazy, talerze itp. — cały balast tzw. dziś „cmentarza zabytków". A powstał on (co znowu należy poczytać za zasługę wielką i niewątpliwą zbieraczom) z nagromadzonych, uratowanych przed zniszczeniem, zwiezionych z rozparcelowanych majątków dzieł sztuki, świadczących o bogactwie stanu szlacheckiego. Ale zwiedzający wychodzili z muzeum w przekonaniu, że przeszłość regionu, to tylko świetna przeszłość szlachecka. Pominięto bogaty przecież tutaj materiał sztuki ludowej i etnografii, o który rozegrała się wielka batalia z dyr. Krajewcką z Łodzi, pominięto całkowicie ruchy polityczne, socjalne, rok 1863, „Zaranie", brak było pamiątek po Ściegiennym, Sienkiewiczu (z racji Oblęgorka) Dygasińskim, Żeromskim. Nie wiadomo czy dzisiejsza dyrekcja myśli o tym, że możemy stanąć wobec faktu, iż po tych twórcach, w ten czy inny sposób związanych z regionem, nie pozostanie nic — jak nie ma nic po Reju i po Kochanowskim. Brak w muzeum świętokrzyskim dzieł malarskich Szermentowskiego, Brandta i wielu innych malarzy, wywodzących stąd swój rodowód. Natomiast ogromna ilość zwiezionych rzeczy z terenu to rupiecie zawalające magazyny [illegible].

Mówiąc o tradycji muzealnej miałem również na myśli owych kilkanaście wystaw plastyków, zresztą urządzanych niedydaktycznie, często o słabym poziomie — po co — po to by sprzedać. Kupowała zawsze „prywatna inicjatywa". W ten sposób dzieło malarskie traciło swój cel, bo miast wisieć w hallu jakiejś instytucji społecznej, politycznej, w pokojach przyjęć, w biurach i urzędach, w szkołach, gdzie obraz żyłby życiem tysięcy spozierających na niego oczu i zdobywałby wartość społeczną — zamiast tego — szedł do prywatnego domu, aby uczynić zadość prawu „świętej własności". Wystawy plastyków w Kielcach nie cieszą się powodzeniem, bo co to znaczy 800 czy 1.000 osób zwiedzających rocznie na 50.000 mieszkańców miasta? I w tej nikłej liczbie prawie zawsze dominowała inteligencja, czasem młodzież. Ale bardzo rzadko. Chłopa tam nie widziałem ani razu — a przecież jarmarki w Kielcach odbywają się dwa razy w tygodniu. Robotnika też nie widziano na tych wystawach. Natomiast przez muzeum świętokrzyskie przewija się od czasu do czasu nieliczna wycieczka robotnicza. Frekwencja w muzeum bardzo słaba, bo od 1.000 do 2.000 osób miesięcznie. (W tym wiele wycieczek szkolnych i wojskowych).

Wyrażając się ujemnie o kilku latach przeszłych myślałem o zaniedbanym i przemilczanym ważnym zagadnieniu ruchów amatorskich, zespołów ludowych śpiewaczych, scenicznych, orkiestralnych, zagadnieniu świetlic, domów społeczno-kulturalnych, miałem na myśli koncerty urządzane jedynie w wielkich miastach z pominięciem osiedli robotniczych, miasteczek i wsi — a więc z pominięciem w popularyzacji kultury —



Kobieta w stroju ludowym
(Zbljów, pow. Iłża)
Fot. P. Gan



Jadwika Koziarska (Iłża), „Twardowski"
Fot. P. Gan



Fryderyk Bąbel (Koszary). Dzban 50 cm wysoki, niepolewany
Fot. P. Gan



Wincenty Kitowski (Iłża) „Baba świętokrzyska"
Fot. P. Gan



Sprzedaż garnków z Denkowa w Ostrowcu Świętokrzyskim
Fot. P. Gan



Stanisław Luba (Iłża). Dzban
Fot. P. Gan

tych grup społecznych, do których należy idąca epoka. Właśnie przez to elitarne traktowanie sztuki w latach dwudziestych i dawniejszych — nastąpiło upośledzenie kulturalne ogromnych warstw ludzi pracy fizycznej — proletariatu i chłopów.

W obecnej rzeczywistości kulturalnej znów wracamy do pracy organizacyjnej oświatowo-kulturalnej przede wszystkim na wsi. Do tego zakresu zaliczam likwidację analfabetyzmu. Gdy przed wojną na terenie województwa kieleckiego było 25,7 proc. analfabetów (według rocznika statystycznego z 1939 r.) dziś ich jest około 14 proc. wg danych Kuratorium O. S. w Kielcach. Tu wymienić trzeba poważny rozwój radiofonizacji wsi, obok tego ważną akcję biblioteczną, która w skali ogólnopolskiej może poszczycić się najpiękniejszymi wynikami. Bo gdy w początku 1948 roku było na terenie województwa 236 bibliotek gminnych, dziś ich jest 1.736 — łącznie z punktami bibliotecznymi. W każdym powiecie jest ponad sto punktów bibliotecznych. W jednym tylko powiecie, z którego udało mi się uzyskać dane statystyczne — włoszczowskim według stanu na dzień 28 grudnia 1948 r. — na 89.308 ludności wyłącznie rolniczej jest 5.552 czytelników, gdy z początkiem roku liczba ich niewiele przekraczała 1 proc. A więc w tym terenie na 1 bibliotekę wypada 5.974 osoby, gdy wg danych zebranych przez Amerykańskie Towarzystwo Bibliotek i Brytyjskie Stowarzyszenie Bibliotek — w Anglii 1 czytelnia publiczna przypada na 80.000 ludzi, w Stanach Zjednoczonych na 20.331 ludzi, zaś w Rosji Sowieckiej 1 biblioteka publiczna przypada na 2.167 mieszkańców. W skali wojewódzkiej w stosunku do ludności w gminach wiejskich czyta przeciętnie 2 proc., w bibliotekach miejskich i powiatowych od 3 do 6 proc. Na marginesie stan czytelnictwa czasopism w miastach: otóż w Kielcach na 50.000 mieszkańców, codziennej gazety, jaką jest „Życie Radomskie", rozchodzi się 2.500 egz., w Radomiu na 80.000 mieszkańców — 8.000 egz., „Odrodzenia — 300 egz., „Tygodnika Powszechnego" 100 egz., innych jak „Kuźnica", „Wieś" — do 150 egz. Czasopisma te w 60 proc. są czytane przez mieszczaństwo, w 30 proc. przez szkoły i 10 proc. przez rolników. Robotnicy czytają prasę codzienną po linii partyjnej, wieś ogólnie — ludową, rolniczą lub katolicką.

Obok akcji bibliotekarskiej i czytelniczej na wsi rozbudowuje się sieć wiejskich ognisk muzycznych. Również robotnicze takie ognisko powstało ostatnio w Starachowicach (w listopadzie ub. r.) z inicjatywy tamtejszych muzyków i z potrzeb społeczeństwa starachowickiego. W ognisku tym obecnie kształci się 71 uczniów w 98 proc. pochodzących z klasy robotniczej. Ognisko to w przeciągu 2 miesięcy dało siedem koncertów dla świata pracy. W bieżącym roku powstaną podobne ogniska w Piotrkowicach i Bielinach (pow. kielecki) i w Sandomierzu. Obok już istniejących ognisk kultury plastycznej w Sandomierzu, Kielcach i Częstochowie powstanie ognisko w Ostrowcu Świętokrzyskim. Ogniska te mają na celu wychowanie i wykształcenie konsumentów sztuki właśnie ze sfer robotniczych i chłopskich, wykształcenie młodzieży na kierowników świetlic.

Myślę, że jest to „bardzo konkretna treść materialna tego, co się chce organizować". I to są właśnie te ośrodki promieniowania twórczego, w których J. Nowak-Dłużewski widzi „organizowanie mgławicy". Czy aby to nie jest dywersja na tyłach, która usiłuje opóźnić wzrastający ruch rozbudzenia wsi, podniesienia stanu kulturalnego ośrodków robotniczych?



Muzeum Świętokrzyskie w Kielcach. Fragment wnętrza sali pierwszej
Fot. A. Oleś

Jakże poważną rolę spełnia robotniczy zespół „Świt" ze Skarżyska, objeżdżający z widowiskami małe osiedla pow. kieleckiego, radomskiego, kozienickiego i iłżeckiego, jaki poziom ma chór robotniczy „Pochodnia" z Częstochowy, który w jesieni 1948 roku zdobył pierwszą nagrodę na festiwalu międzynarodowym w Budapeszcie, jakie znaczenie dla rozwoju teatru ludowego, nowych form, ma praca zespołu teatralnego z Uniwersytetu Ludowego z Prawic — o tym wie każdy działacz oświatowo-kulturalny z Kielecczyzny, o tym wie Warszawa, ale o tym zdaje się nie wiedzieć Nowak - Dłużewski. Pomijam inne ważne zespoły, bo nie miejsce tu na ich rejestrację. Chodzi przecież o zjawiska kulturalne, grające poważną rolę w podnoszeniu poziomu, w uspołecznieniu kultury i jej dóbr, w jej umasowieniu, a nie tylko popularyzowaniu.

Zagadnienie sztuki ludowej Kielecczyzny jest stawiane na jednym z pierwszych miejsc w planach kulturalnych tego regionu. A że to wynika z planów, dowodem opracowywanie kolejnych konkursów ceramicznych dla Iłży, Denkowa, Chałupek, które nie tylko mają zasługę w podnoszeniu poziomu estetyki produkcji, ale przede wszystkim tę, że ośrodki te mogą się rozwijać, że konkursy dały możliwości ekonomiczne dla rozwoju i eksportu za granicę, a więc zbytu. Bez planowej pomocy Państwa w tej formie, o jakiej wspominam, nie byłoby dziś mowy o istnieniu skupisk ceramicznych takich jak Denków, Kąty, Chałupki, Iłża czy Koszary i nie byłoby czym pochwalić się na wystawie w Moskwie i Nowym Yorku. Otwarta 24 października ub. r. wystawa kieleckiej sztuki ludowej była poważnym sukcesem w skali ogólnopolskiej i zdaniem rzeczoznawców i delegatów Ministerstwa Kultury i Sztuki — była to najlepsza tego rodzaju wystawa zorganizowana w Polsce po wojnie. Tak jak ceramika użytkowa i galanteria ceramiczna, podobnie i tkaniny okazały się ciekawymi eksponatami, które zaliczyć należy do postępowego dorobku współczesności.

Wszystko to, co się już powiedziało, są to osiągnięcia poważne na drodze do planowego rozwoju kulturalnego Kielecczyzny, niemniej jest jeszcze dość daleko do stanu idealnego, do doskonałości, do której przecież zmierzamy.

Przechodząc do zawodowego ruchu kulturalnego zanotować należy wielki postęp orkiestry symfonicznej w Kielcach i Częstochowie, które dały w roku ubiegłym łącznie 81 koncertów, w tym 42 koncerty dla szkół, 23 dla świata pracy i 16 ogólnych. Ujmując sprawę terenowo — 34 koncerty odbyły się w miasteczkach i na wsiach a 47 w miejscowościach siedzib orkiestr a więc w Częstochowie i Kielcach.

Szczegółowiej dla ilustracji podam dane z miesiąca listopada 1948 — dotyczące koncertów Wojewódzkiej Orkiestry Symfonicznej z Kielc. Odbyło się 10 koncertów, których wysłuchało łącznie 5.738 słuchaczy. Wykonano ogółem 82 utwory kompozytorów takich jak: Chopin, Czajkowski, Moniuszko, Rubinstein, Glinka, Dorgomyjski, Wojciechowski i inni. W październiku urządzono 15 koncertów dla 4.996 słuchaczy.

Obok tego rozwijają żywą działalność Kluby Literackie w Częstochowie, Kielcach, Radomiu. W Kielcach np. od marca 1948 r. było 21 „Czwartków Literackich", na których frekwencja wynosiła od 70 do 250 osób. Na wieczorze autorskim Tadeusza Kubiaka było około 600 osób. W Radomiu urządzono od maja do grudnia 14 „Piątków Literacko-Artystycznych", na których frekwencja wynosiła do 50 osób, nie mówiąc o wieczorze autorskim Wł. Broniewskiego, na którym sala była przepełniona.

A przecież na terenie Kielecczyzny jest zaledwie trzech literatów: Burek — w Sandomierzu, Ożóg — w Radomiu i Gisges — w Kielcach.

W bieżącym roku przewiduje się przyjazd literatów z miast centralnych do ośrodków robotniczych i postępowych wsi, aby związać nową twórczość z masami ludowymi i ich walką.

Pominąłem tu rolę teatru zawodowego, którego znaczenie wielokrotnie na łamach różnych czasopism było omawiane. Dla ilustracji tylko podam, że w Radomiu w przeciągu niespełna 4 miesięcy na 3 widowiskach było 30.000 widzów, w Kielcach na 260 przedstawieniach (18 utworów) około 86.000 widzów (w roku 1948).

W Kielcach projektuje się w styczniu br. przeprowadzić unifikację stowarzyszeń o charakterze naukowym, kulturalnym i artystycznym. Fuzja ta ma za zadanie zjednoczenie twórczych wysiłków ludzi, którzy pracują nad podniesieniem stanu nauki, kultury i sztuki na terenie województwa, w jedną mocną, sprężystą organizację. Jest to wywołane lokalnymi warunkami i potrzebami społeczeństwa.

Jak z tych szkicowych uwag wynika, nie jednostki kształtują oblicze kulturalne regionu, (choć nie ujmuje się znaczenia ich wpływu i walorów osobistych), a czynią to określone warunki społeczne, okoliczności i wypadki, które w obecnej tylko rzeczywistości politycznej, ekonomicznej, gospodarczej, w obecnym układzie sił społecznych mogą mieć i mają miejsce. Idziemy więc naprzód pełni optymizmu, że w niedalekiej przyszłości nierówności i zapóźnienia kulturalne będą w ogromnym procencie zlikwidowane.

Należę do entuzjastów, do tych, którzy treści rewolucyjne łączą z realizmem, którzy piękno widzą w odbudowie i rozbudowie przemysłu, w rozwoju ekonomicznym wsi, którzy walczą o postęp, wiedzę i awans społeczny i kulturalny obecnego rozwijającego się człowieka pracy, wszystko jedno czy to fizycznej, czy umysłowej.

W dawnych puszczach Emeryka, gdzie zakonnicy stawiali monumentalne budowle kościelne, gdzie oparcie znaleźli arianie, skąd po raz pierwszy zabrzmiał w literaturze język polski, człowiek XX wieku stawia sobie pomniki fabrykami, kominami wapienników, szybami górniczymi, budowlami domów kultury — w upartej walce z epigonami mijającej epoki — w ciągłym rozwoju, wzbogacając coraz intensywniej kulturę mas, idąc naprzód z przeobrażeniami świata.

Jan Maria Gizges

Jan Aleksander Król

„CHŁOPEK Z LUBELSKIEGO"

(o Karolu Namysłowskim)

Pamiętamy wszyscy aż nadto dobrze historię „Janka Muzykanta". W ludzie kryją się skarby uzdolnień artystycznych. Ale skarby te marnują się, bo klasy posiadające i bawiące się „kulturą" nie uprawiają filantropijnego mecenatu. W zbiorowym tomie opowiadań Sienkiewicza „Janko Muzykant" wychodzi w r. 1882. Otóż w tym samym roku Karol Namysłowski organizuje pierwszą włościańską orkiestrę w Lubelskiem. Daje parobkom instrumenty. Uczy ich gry i orkiestra staje gotowa do popisu, aby zaświadczyć koncertami o zdolnościach ludu. Będzie występować w Lublinie, Kaliszu, na Śląsku, w Warszawie na Dynasach, nawet w New-Yorku.

Karol Namysłowski był ziemianinem z pochodzenia. Kończył konserwatorium w Warszawie razem z Paderewskim, ale za granicę na dalsze studia nie pojechał. Zawrócił z drogi wiodącej do sławy wirtuoza i kompozytora na obu półkulach. Bo nie to jest ważne, czy mógłby ją zdobyć. Ważne są jego związki z pozytywizmem i następną falą nacjonalistycznych nastrojów w kraju. Pozytywizm go wychował. A przeszczepianie oświaty w lud wyraziło się w tym okresie ruchem emigracyjnym inteligencji z miast i dworów na wieś. Oczywiście nie był to proces masowy. Wychodził z wąskich, bo intelektualnych i postępowych kręgów inteligencji. Odpowiadał tej akcji, jaką dzisiaj przeprowadzają studenci socjologii w terenie, z tą jednak różnicą, że praktyka, osobiste twarzą w twarz obcowanie na wsi z chłopami miały doprowadzić do teorii pracy dla ludu, do teorii drogi ludu do awansu kulturalnego.

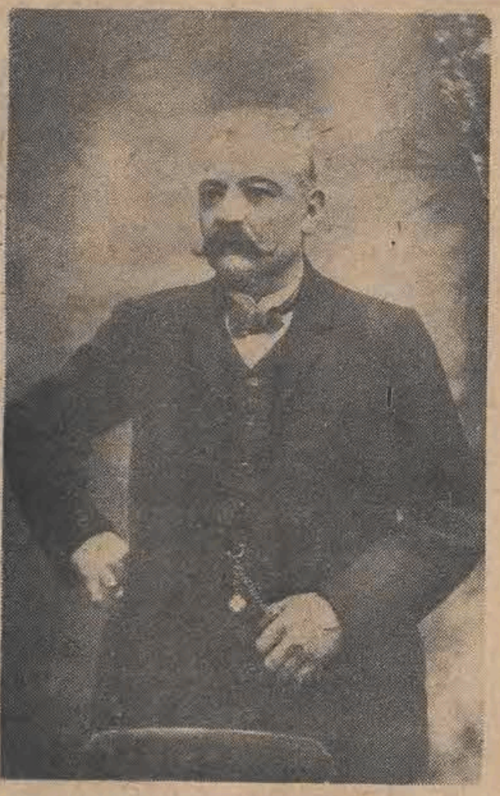
Brzeziński, Pruszyński (Promyk), Dziubińska i właśnie Namysłowski, to pierwsze z brzegu nazwiska najgłośniejszych przodowników tego ruchu.

Ale lata 90-te ubiegłego wieku to już lata przełomu. Załamanie się pozytywistycznych nadziei na krajowy — polski kapitalizm. Nie znaczy to, aby „lud spadł w cenie. Przeciwnie, wyraźnie rośnie nań „hossa". Prus kończy „Lalkę" niedwuznaczną apostrofą: zostały nam Bóg, ziemia i lud. Tylko, że dla organiczników „Janko Muzykant", który by dostał skrzypce i stypendium z dworu, powinien jechać za granicę, osiągnąć sławę... Paderewskiego. Dla organiczników „Antek", wsparty przez dobrych ludzi, powinien zostać w jednej osobie polskim Edisonem i Fordem, jeszcze lepszym Wokulskim. Krótko mówiąc, szło pozytywistom o wydobycie „organicznych talentów" ze wsi na przesunięcie ich ponad drobnomieszczaństwo do szczytu brakującej kopuły: **polskiej, dynamicznej burżuazji.** Sprawa wsi rozkładała się zatem na dwa zagadnienia: garść talentów na szczyt polskiego mieszczaństwa i masy wiejskie, oświecane powszechnie dla organicznego wrośnięcia w epokę mieszczaństwa, w przyśpieszony rozwój kapitalizmu. Ta kombinacja nie udała się od góry. Kapitalizm Zachodniej Europy rozwinięty do fazy koncentracji przemysłu i finansów nasunął się jak lodowiec na zapóźniony w przemianach społecznych i rozwoju cywilizacyjnym kraj nadwiślański i puste piętro burżuazji polskiej wypełnił szczelnie, zmiatając krajowych ryzykantów. Ziemiaństwo stanęło wobec konieczności zrastania się z tą obcą burżuazją, stanęło wobec spółki do podwójnej eksploatacji ludu wiejskiego i miejskiego. W spółce z polską burżuazją byłaby to eksploatacja jakoś chroniąca suwerenność ekonomiczną kraju, wzmagająca jego potencjał gospodarczy. W spółce z obcą burżuazją, z obcym kapitałem, lud wiejski i miejski wystawiony został na łup **eksploatacji kolonialnej.** A przecież przy pomocy własnych sił narodowych, za zgodą klas posiadających i społecznie panujących — dla **prowizji,** jaką one czerpały z tego handlu, aby trwać na pozycji „klas posiadających i społecznie panujących". To był ten **bardzo drażliwy i grożący obnażeniem punkt zwrotny.** Dlatego, kiedy w okresie pozytywizmu o narodzie i patriotyzmie nie mówiło się zbyt głośno i dużo, teraz słowo „ojczyzna" nie schodzi z ust. Hałaśliwy patriotyzm miał przesłonić nową postać niewoli narodu — **niewolę ekonomiczną.** Miał przesłonić rodowód jej powstania: opóźnienie przemian społecznych, ich połowiczność, **miał przesłonić aktualnie klasę, która tę niewolę współtworzyła,** miał przytłumić rezonans walki klasowej, jaką już rozwijał rosnący proletariat, miał wreszcie **utrzymać za wszelką cenę wieś, jako rezerwę burżuazji i ziemiaństwa.**

Wracamy do wsi i ziemiaństwa. W kolonialnym położeniu wsi, przyjętym jako położenie **stabilne na przyszłość,** inaczej stanęła sprawa ludu. Nie potrzebna już jest ani garść talentów na szczyty mieszczaństwa, ani rozfalowanie mas chłopskich do awansu w kapitalizm, skoro przyszłość zakłada utrwalenie niedorozwoju industrialnego. Zakłada, to znaczy, jest podyktowana przez kapitalizm imperialny. Potrzebne jest natomiast wychowanie wsi do losu kolonialnego. **Los kolonialny mas narodowych oto nowa, dominująca teraz treść znaczeniowa w pojęciu ojczyzny i patriotyzmu.** W chłopstwie wszak akcentuje się to, co stanowiło jego średniowieczną przeszłość: **religijność parafialną i kulturę ludową.** Taka wieś bez buntu wytrwa w kapitalizmie niedorozwiniętym, wytrwa bez buntu w półkolonialnym kraju Europy. Takiej wsi można mówić o „ojczyźnie", w takiej wsi można widzieć „naród". Można ogłosić solidarność klas w imię **samobójczego nacjonalizmu.** Kogo kryła religijna tradycja na wsi? Bogatych chłopów. Bogaty? Widać Bóg poszczęścił, widać Bóg z nim. On też dlatego był skwapliwie w rytualnej zgodzie z zakrystią i plebanią. Regionalne tradycje — strój, budownictwo, sprzęty, uroczyste obrzędy rodzinne — na to stać było również tylko bogatych chłopów. Przymierze zostało zawarte z wsią kułaków, tzn. z jeszcze niższym ogniwem w hierarchii zarządców i eksploatatorów ludności tubylczej w kraju półkolonialnym. Kułacy świetnie zagrali akcesoriami kolonialnych ludów, magią i totemem: **odpustami i pielgrzymkami oraz sukmaną i gazdowstwem.** Zagrali średniowieczem, aby im posłużyło do drapania się w górę po najniższych szczeblach awansu kapitalistycznego. Zaiste — komedia nieludzka. Miliarder, pierwszy monopolista John Rockefeller — jak pisze prof. Chałasiński — robił notatki z kazania, aby je powtórzyć chorej żonie. Niegorszej obłudę i zakłamanie uprawiała burżuazja polska. Paweł Popiel, magnat galicyjski pisał w r. 1889 (w „Czasie") o szkolnictwie dla dzieci chłopskich: „Stawiam pytanie, jakim prawem państwo odbierając rodzicom władzę, zaprawdę w tym przypadku **z łaski Boskiej,** wychowania własnych dzieci, skazuje je nie tylko na długoletnie opuszczenie rodzinnej posługi, ale na możebną, często prawdopodobną, utratę tych **zwyczajów rodzinnych i zasad moralnych,** które nie tylko **stokroć od nauki ważniejsze,** ale również potrzebne dla rodziny, **jak dla społeczeństwa"...** dodajmy — w półkolonialnym kraju Europy. Krewniak, Konstanty Popiel z Kongresówki, pisał w r. 1887 („Niwa") pod adresem postępowców: „Czem myślicie zastąpić ten stosunek wzajemnej pomocy który wszędzie istnieje u nas po wsiach (między dworem a chatą — przyp. nasz), a istnieje **siłą dawnego obyczaju, siłą rzeczy...**

To nie jest nowa teoria, jak Wasza, Panowie: to jest dawna praktyka, która wyrosła **ze stosunku patryarchalnego, Bogu dzięki jeszcze u nas przechowana,** a nie da się zastąpić żadnymi wymysłami rzekomej cywilizacji dziewiętnastego wieku".

O piętro niżej te same zasady, przykrojone dla swoich potrzeb, wykładać będą kułacy. Przywołajmy na świadków Witkiewicza i Orkana. Pierwszy obserwował u gazdów góralskich „dumę i rodową pychę, **pochodzącą z bogactwa,** która rozpiera tak samo pierś Gąsieniców jak Zborowskich". Drugi **przypatrywał się „tym i tamtym (biednym**



Karol Namysłowski (1856—1925)

i bogatym góralom) i ich stosunkom wzajem siebie. „Nie powiem, by się mi owi płońsi lepiej przedstawiali. **Tradycja i ducha prostuje i wyżej nieść się mu każe".**

Ta komedia nieludzka rozgrywała się przecież w kapitalizmie. Burżuazja religią i kultem tradycji stanowych przykrywała swój wyzysk kapitalistyczny. Ziemiaństwo Bogiem i dawnymi obyczajami przykryło swój wyzysk kapitalistyczny, bo przez kapitalizm jej zachowany i dozwolony w warunkach półkolonialnego kraju. Kułacy Bogiem i „pychą rodową" przykrywali wyzysk kapitalistyczny wobec „braci - chłopów", na tym niskim pięterku wolnej gry interesów drobnych posiadaczy ziemi w drobnej produkcji, drobnym najemnictwie, drobnym wykupnie i drobnej lichwie.

„Wzięta w siebie tradycja ojców ugruntuje nas w sobie i zespoli" (Orkan). Włościan, kmieci i gazdów „ugruntowała w sobie" i z sobą klasowo zespalała. Ale Bóg i tradycja, te wartości pośredniowieczne, ciążyły swym brzemieniem również na biednej wsi. Ciemnota i bezradność ekonomiczna podtrzymały w niej kult dla magii i totemu (rodowego), **jako naiwną wiarę,** podczas, gdy dla kułaków religia i tradycja pełnią już tylko rolę **KOSTIUMU I NARZĘDZIA do odegrania historycznej roli — drobnych kapitalistów.**

Kiedy się to wszystko weźmie pod uwagę, łatwo już zrozumieć, że inteligencja poziemiańska w latach 90-tych i później z pozytywizmu **zachowa tylko technikę „pracy od podstaw"** wśród ludu wiejskiego, **zmieni natomiast cel tej pracy.** Promyk dokonał wynalazku, stworzył „elementarz", wykształcił jego wzór na literach, pisanych poprzez całą ścianę obór i chałup. Ale elementarz nie miał wyprowadzić chłopów z mroków mistycznego pojmowania życia. Nie kierował do świeckiego, pozytywistycznego racjonalizmu. T. Nocznicki wyrzucał mu, że w „Gazecie Świątecznej" (której Promyk był redaktorem) udzielał oświaty tylko takiej, jakiej życzył sobie kler. „Owszem — pisał Nocznicki — ci chłopi umieją czytać, tylko nigdy nic, prócz książki do nabożeństwa, nie czytali".

Brzeziński*), twórca pierwszej (po pańszczyźnie) biblioteki dla ludu z programowym katalogiem (1890 r.), układa to kompendium czytelniane na zasadzie gospodarki wyłączonej z kultury powszechnej. Miała to być literatura, tworzona specjalnie dla ludu, utrwalająca go w „stanie". Oczywiście, że w ten program wdarł się jakoś pozytywizm. Są w tej bibliotece, jak dział II — książki przyrodnicze i geograficzne, jak III — książki praktyczne, jak IV — książki społeczne, ekonomiczne i prawne, ale obraz przyrody zapowiada się tu w niedwuznacznym stylu: „o wielu zwierzętach, roślinach, **o drogich kamieniach,** o soli, siarce, o wodzie" ...To tak, jakby raz jeszcze (po średniowieczu) opowiadać o dziwach, jakie oglądał **w** Indiach Aleksander Wielki. Praktyczne książki podsuwały „takie rady jak ratować topielców i zamarzniętych". Ale nawet nie ten typ lektury stanowi pozycję główną, określającą charakter jego biblioteki. Biblioteka stoi pod znakiem „rozpraw moralnych" i książek treści historycznej; im podporządkowany jest podstawowy dział: elementarze i książki dziecinne, bo czego Jaś się nie nauczy, tego Jan nie będzie umiał.

„Jak to kiedyś broniliśmy Głogów od Niemców, jak wojowaliśmy z Tatarami i **jacy byli u nas dawniej znakomici ludzie".** Znakomici dawniej mogli się cieszyć zza grobu swymi potomkami, znakomitymi i pod koniec w. XIX, skoro w bibliotece Brzezińskiego do „rozpraw moralnych" zaliczone zostały — **Sennik, O karczmie, O modzie papierosianej, żywot Św. Genowefy, Przeraźliwe echo trąby ostatecznej itp.**

Jadwiga Dziubińska założyła pierwsze w kraju szkoły rolnicze dla młodzieży chłopskiej. Praktyka w szkole rolniczej miała posłużyć jej wychowankom „do przekonania, że drobna własność może prosperować na dzisiejszej wielkiej machinie kapitalistycznej". I posłużyła, bo w większości uczniami tych szkół mogli być, i byli, synowie i córki bogatych gospodarzy. Warunki materialne kształcenia i jego celowość dokonały tego przegrupowania na rzecz wielkorolnych. Kultura dla „obciosania grubego wiejskiego wióra" również służyła dzieciom klasy kułackiej.

Można by ten spis zasłużonych nazwisk ciągnąć w tomy. W tym szkicu mamy prawo paroma przykładami wyznaczyć nową rolę inteligencji, idącej w lud w latach dziewięćdziesiątych i dalszych. **Służy ona klasie kułackiej, w niej utrwala swój kontakt z wsią i wiedzę o wsi.** Wyłączamy z naszych rozważań zagadnienie intencji i celów, jakimi się ona kierowała. Czy Promyk bał się, podobnie jak magnat Popiel, wstrząsów społecznych, kiedy wieś odejdzie od tradycji i religianctwa? Popiel grzmiał na postępowców, że po tej drodze „prowadzą lud powoli do socjalizmu". Czy Brzeziński również tego się bał? Albo Witkiewicz? Czy Dziubińska zdawała sobie sprawę, że podnosząc poprzez szkoły rolnicze postęp techniczny produkcji na wsi czyni to nieuchronnnie na rzecz kułaków? I że jej przekonanie, że „**drobna własność** może prosperować na dzisiejszej wielkiej machinie kapitalistycznej tylko wtedy, **gdy jest zrzeszona".** kryło dwa złudzenia? Że prosperować może drobna własność w kapitalizmie i że do zrzeszenia jej, prowadziły szkoły. Do spółek w najlepszym razie, a z reguły do rozbijania zrzeszeń przez kułackich synków, wyszkolonych rolniczo na duże gospodarstwa. Na te pytania tutaj nie odpowiadamy. Stwierdzamy tylko fakt wyraźnego w tym okresie związku inteligencji z klasą kułacką i rozpowszechnianie przez nią w środowiskach inteligencji i mieszczaństwa **kostiumu i narzędzi, służących do umocnienia pozycji wiejskich kapitalistów.** Ten kostium i te narzędzia: to **religijność** i **stanowość.** Do „filozofii narodowej" i „polityki narodowej", do kultury klas oświeconych przenikną za pośrednictwem tej inteligencji mity o „wiecznym ludzie", o jego „rasie", „honorności rodowej", kulturze egzotycznej, uczuciowości religijnej, o jego krzepie, temperamencie i mocy biologicznej.

Wydaje nam się, że na listę tej inteligencji wciągnąć można Karola Namysłowskiego. Jego parobczańska orkiestra w sukmanach, koncerty, w których — jak powtarzają to wszystkie współczesne recenzje — „grzmi nasza swojska, ochocza, a przy tym rzewna nuta", wieczerze, na których ze „swojskimi artystami" „nagadano się i naściskano", bo „jak nie rozkoszować się, kiedy poczciwe kmiotki grają z takim zacięciem". Ten **„afisz",** jaki Namysłowski wymyślił przez utworzenie orkiestry włościańskiej: „bronzowa sukmana, długie buty, biała okrągła czapeczka, w ręku **skrzypki czarodziejskie.** Postać znana: chłopek z Lubelskiego". Wyspiański pisał podobnie: „postać znana, pamiętana..." Wernyhora! O Namyślowskim zapowiadały gazety: „znowu **świr, świr za kominem** rozlega się w uszach i w sercach naszych". Wyspiański zapowiedział znowu... chocholi taniec.

A recenzent koncertu ludowej kapeli określił treść tego chocholego tańca. Kiedy bowiem ogarnął go „niezwykły i wzruszający widok czerstwych, dziarskich i silnych postaci w białych sukmanach", uznał, że jest to „coś wreszcie, co pozwala snuć **marzenia o lepszej przyszłości.** Niewyczerpane są bowiem zdolności w naszym ludzie, tylko trzeba umieć je wykrzesać".

„Lepsza przyszłość" miała kiedyś zrealizować sojusz hieno-piasta. To było i to tylko mogło być jej szczytem, skoro na wiele lat wcześniej na warszawskich, drobnomieszczańskich Dynasach tak opisywano występy Namysłowskiego orkiestry.



„Brązowa sukmana, okrągła czapeczka..."

„Pięknie ci, bo pięknie na totych Dynasach: od wody chłodek zalatuje, że nijakiego upału nie czujesz, po drugie piwo ci takie w restorancie na miejscu szykujom, iż jak jaksamit w gardziel idzie, a także samo pan Namysłoski, jak ci chyci pałe w garść, jak rozpocznie wymachiwać, a muzyka bez samych chłopów w aliganckich białuśkich sukmanach trombiona, jak wytnie jakiego wyrwasa, to ci nawet w karpiach pływających na stawie krew się zagotuje". (Mucha).

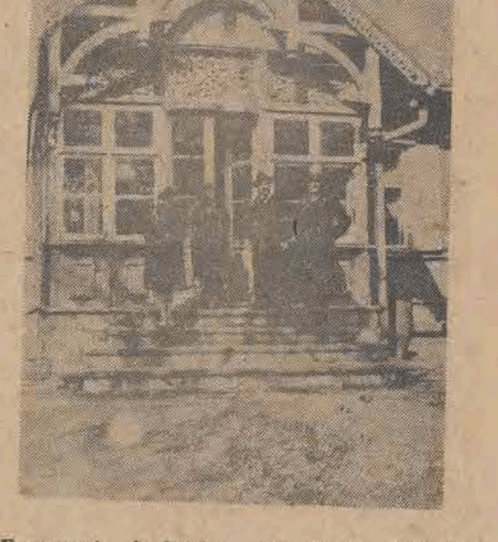
Cóż się tu dokonało w tym przebraniu się szlachcica w sukmanę, w tym ubraniu grajków wiejskich w odświętne kierezyje, w tym puszczeniu muzyki z „ogniem", z „wyrwasami", w tym narzuceniu wrażenia „całego temperamentu polskiego ludu, jego żywiołowości i humoru"?

Trzy rzeczy: 1) z **pozytywizmu** przedłużenie **naturalistycznej** teorii kulutry. W grze **kapeli wiejskiej** chciano słyszeć **tętno wiecznej ludowości.** Przez dzieje całe to samo i w każdym chłopie takie samo.

2) Z narastającej w kraju półkolonialnym **filozofii nacjonalizmu** wydobyto **kostium stanowy.** I strój i muzyczkę ludową — „krakowiaczek ci ja" — krzepy, hałasu, rzewności i samozadowolenia.

3) Wieczna ludowość i kostium stanowy nie przeszkadzały, a nawet wprost przeciwnie, pomagały, **ale tylko bogatemu chłopstwu.**

To znaczy, że upowszechnienie (między innymi przez Namysłowskiego) w górach narodowych wizji wsi, jako „wiecznej ludowości" w „stanowym kostiumie", spychało w cień przytłaczającą większość chłopstwa od



Fragment budynku pierwszej chłopskiej szkoły muzycznej w Chomęciskach (gm. Stary Zamość)

średniorolnego, zagrożonego rozdrobnieniem do bandosów, folwarcznych i komorników włącznie. Sprawa chłopska była, krótko mówiąc, **załatwiona.** Drobnomieszczaństwo w chłodku na Dynasach miało piwo i pana Namysłowskiego pod ręką, aby czuć się narrrodowo, z ludem, i w nocy z tej racji spokojnie spać.

Chłopom zaś na wsi, (tym biednym, biedującym i nędzy) nie pozostawało nic innego jak robić dobrą minę do złej gry.

Pan Namysłowski afiszem włościańskiej orkiestry w białych sukmanach **buńczuczył kułaków,** bo tylko pod własnym adresem mogli zapisać, „albośmy to jacy tacy..."! Sięgają do spółek, kółek, sejmików i sejmu. Malują ich na obrazach, układają wiersze, pokazują w powieściach i sztukach teatralnych, dorabiają im „piastowskość". Czegóż, do diabła, nie robią, aby w walce klasowej na wsi **wspomóc i rozigrać temperament kułaków.** Hossa na lud była wówczas hossą **na kostium kmieco - kapitalistycznej ekspansji.** Była dlatego okresem pomoru psychicznego dla biednej wsi.

Jan Aleksander Król

*) Patrz artykuł Anny Kamieńskiej: „Jak przed nami projektowano"? „Wieś", nr. 25, 1948 r.

RECENZJE KONCERTÓW ORKIESTRY K. NAMYSŁOWSKIEGO

Urywki*)

ROK 1884 — LUBLIN

„Tłumy zalegają salę koncertową. Dano hasło. Wszyscy się z miejsc ruszają. Widać falowanie głów, gdyż każdy chce jak najlepiej widzieć estradę. Kogóż ma na niej zobaczyć? Czy zawitał do nas drugi Paganini? Może „Diabeł Hiszpański"? Nie. Wyszło ich dwudziestu w świtkach białych włościańskich i grzmi nasza swojska, ochocza, a przy tym rzewna nuta. Serce rośnie. Wszystkich oczy zwracają się z wyrazem podzięki na dyrektora, który wespół z innymi zarówno wywija smyczkiem. Patrząc na to małe chłopię na prawo estrady, co tak się przytuliło do swoich skrzypek i wycina od ucha, niejednemu stanął w myśli biedny „Janko Muzykant".

ROK 1886 — KALISZ

„Przeróżne towarzystwa dramatyczne i rozmaici artyści nie sprawili nigdy tak wielkiej, a powszechnej przyjemności i nigdy tak mile przez tutejszą publiczność przyjmowani nie byli, jak goszcząca obecnie u nas Orkiestra Włościańska pod dyrekcją p. Karola Namysłowskiego. Dwa pierwsze koncerty sprowadziły tłumy słuchaczy do sali teatralnej, którzy rozkoszowali się swojską muzyką i swojskimi artystami, włościanami przybyłymi z daleka od Zamościa. Wszyscy artyści nie zdejmują swych ubrań, w jakie ubierali się ich ojcowie i dziady. Po tych dwóch koncertach zaproszono muzykalną drużynę na skromną wieczerzę; nagadano się z nimi i naściskano, a na powszechne żądanie odbył się trzeci koncert również tłumny. Bo jak nie rozkoszować się, kiedy poczciwe kmiotki grają z takim zacięciem".

ROK 1904 — WARSZAWA

„Dynasy, Dynasy — gra raźno muzyka, obertas, mazurek do duszy przenika, na przyszłą niedzielę zagiąłeś już parol, bo mile czas biegnie, gdzie gra ci pan Karol...

„Dynasy, Dynasy — sukienka różowa to mignie na wzgórzu, to znowu się schowa i próżno ślesz za nią swe myśli i oczy — co chwila ci ginie wśród kwietnych roztoczy.

„Dynasy, Dynasy — powolnie dzień kona — muzyka, czar nocy, poeta — i Lona... cóż więcej tu dodać, cóż więcej tu trzeba, by żyjąc na ziemi wrażenie mieć nieba.

„Dynasy, Dynasy — tu w środku Warszawy, zakątek miłutki, istotnie ciekawy, na przyszłą niedzielę zagiąłem już parol, bo mile czas biegnie, gdzie gra ci pan Karol".

„MUCHA"

„Pięknie ci bo pięknie na totych Denasach: od wody chłodek zalatuje, że nijakiego upału nie czujesz, po drugie piwo ci takie w restorancie na miejscu szynkujom, że jak jaksamit w gardziel idzie, a także samo pan Namysłoski, jak ci chyci pałe w garść, jak rozpocznie wymachiwać, a muzyka bez samych chłopów w aliganckich białuśkich sukmanach trombiona, jak wytnie jakiego wyrwasa, to ci nawet w karpiach w stawie pływających krew się zagotuje..."

ROK 1909 — ŚLĄSK

„I znów afisz... i to afisz od lat doskonale wszystkim znany. Afisz dla wszystkich: brązowa sukmana, długie buty, biała okrągła czapeczka, w ręku skrzypki czarodziejskie. Postać znana: chłopek z Lubelskiego. Możemy nie czytać treści afisza. Namysłowski przyjeżdża! Znowu „Świr, świr za kominem", rozlega się w uszach, no i w sercach naszych. Kto umie myśleć, przyzna, że Namysłowski położył niespożyte zasługi na polu umuzykalnienia ludu i miast. To nie reklama, to tylko poczucie sprawiedliwości..."

ROK 1925 — NEW YORK

„New-York 17 lutego. Linia Okrętowa „Cunard" przesłała następującą depeszę: Polska Narodowa Orkiestra pod batutą Stanisława Namysłowskiego wydała na pokładzie okrętu „Aquitania" jadącego do Stanów Zjednoczonych — koncert, którym rozkoszowały się setki amerykańskich pasażerów. Amerykanie słuchający tego koncertu oświadczyli zgodnie, że koncert ten był jedną z największych w świecie sensacji muzycznych tak pod względem harmonii, jak rytmu, i że orkiestra ta w swych malowniczych strojach, wytwarzając tak niezwykłą atmosferę na okręcie — szturmem zdobędzie dla siebie muzykalne sfery amerykańskie".

„Na widok orkiestry, odzianej w strój ludowy, ogarnia zrazu publiczność niedowierzanie, aby ci, w przeważnej części młokosy, mogli grą swoją zaimponować. Jednakowoż z pierwszym gromkim i pełnym siły akordem, rozprasza się niedowierzanie, a jego miejsce zajmuje podziw, rosnący z każdym taktem mistrzowskiej muzyki".

„Ci chłopcy lubelscy grają mazura tak, jak nie gra go żadna kapela na świecie, a przy tym przyśpiewują z ogniem swoje wiejskie piosenki, te same, które zwykli śpiewać na swych weselach. Cały temperament polskiego ludu, jego żywiołowość i humor biją od tej gromady lubliniaków. To nie są koncerty zwyczajne, o jakich się wkrótce zapomina, to coś, co zostaje w duszy trwale, za czym się tęsknić będzie... Coś wreszcie, co pozwala snuć marzenia o lepszej przyszłości. Niewyczerpane są bowiem zdolności w naszym ludzie, tylko trzeba je umieć wykrzesać".

„Znać było, że to Polacy grają polski narodowy taniec z temperamentem, jakiego w żadnej węgierskiej czy cygańskiej muzyce na próżno by szukać. A musieli oni porwać wszystkich słuchaczy, bo przed chwilą słychać było utwory najsubtelniejsze, pełne artystycznej powagi i powabu, polegającego na cieniowaniu, na pianach i pianissimach, gdy wtem ta sama orkiestra z niebywałą brawurą wykonuje swojski utwór".

„Zaiste niezwykły to i wzruszający widok tych czerstwych, dziarskich i silnych postaci w białych sukmanach. Utwory komponowane i dyrygowane przez Namysłowskiego, grane z porywającym ogniem i szaloną ochotą rozentuzjazmowały publiczność. Główną ich cechą to zdrowie, humor i siła. Mimo woli nasuwa się myśl, ile to w naszym ludzie tkwi niewyzyskanych zdolności".

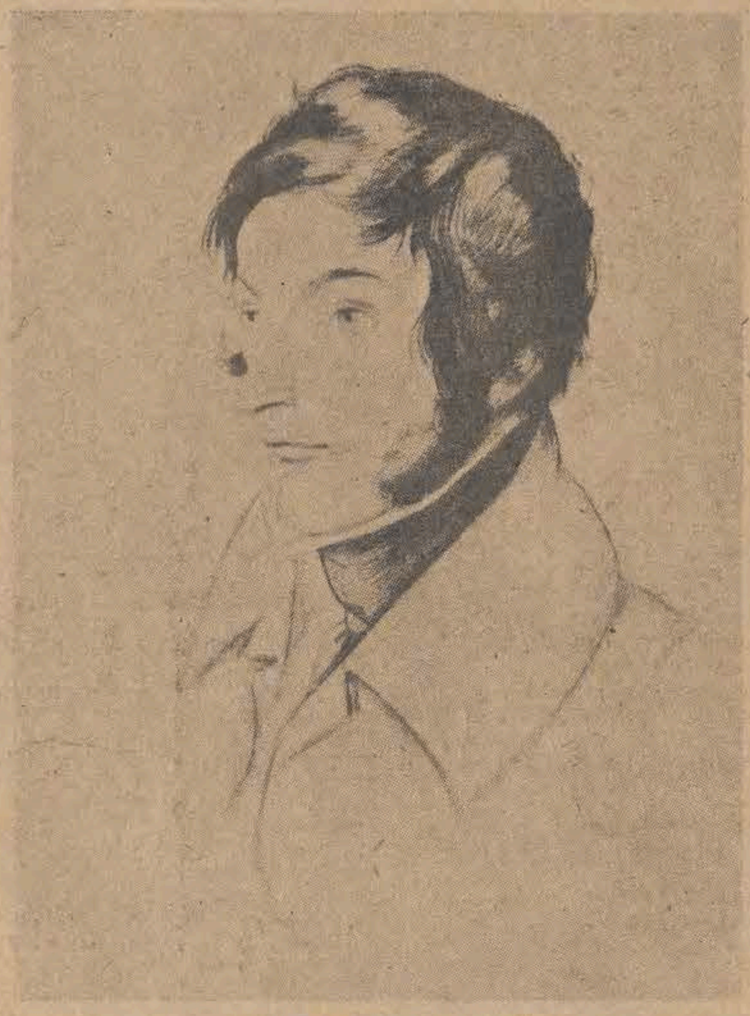
„Wam drużyno muzyczna cześć za wytrwałość i umiłowanie tej rodzimej sztuki, w której Polska bez słów umiała cudownie wypowiedzieć swych dziejów dolę i niedolę, odmalować bogactwa swych uczuć. I Tobie ofiarny Dyrektorze orkiestry, żeś nie dozwolił, by jak ów Janko Muzykant Sienkiewicza — synowie waszego ludu marnowali swe wrodzone zdolności przez obojętność dziedziców, lecz żeś im skrzydła ku pięknu i sławie rozwinął. Cześć Wam, Kochani Rodacy".

*) Fragmenty te pochodzą z przygotowanych przez **Józefa Majkuta** dla Filmu Polskiego materiałów do filmu muzycznego o K. Namysłowskim.

Tadeusz Chróścielewski

DROGA DO SŁAWY

Uwagi nad okresem rosyjskim biografii Mickiewicza



Adam Mickiewicz w 1829 r.
Portret kredkowy z natury, wykonany na życzenie Goethego przez Jana Józefa Schmellera. — Obecnie w Muzeum Goethego w Weimarze

Dla wyobraźni kraj to święty
Pylades tutaj podjął trud,
Szlachetny spór z Atrydą wiódł.
Tu przeszył mieczem własne łono
Mitrydat, kiedy zdjął go szał,
Tutaj nad morzem, pośród skał
Mickiewicz śpiewał pieśń natchnioną
I o swej drogiej Litwie śnił...
Taurydo, cudne masz wybrzeża...
(Aleksander Puszkin — epilog „Eugeniusza Oniegina")

FILARECI, SENATOR I HISTORIA POLITYCZNA?

W pochmurny poranek 24 października 1824 r. kibitka policyjna uwiozła z Wilna w głąb Rosji młodego zesłańca politycznego, ex-nauczyciela szkoły powiatowej, autora nowatorskich, w polskich warunkach kulturalnych, ballad i poematów. Śledztwo udowodniło mu należenie do „spisku o szkodliwych widokach", który miał na celu „**szerzenie nierozsądnego patriotyzmu polskiego za pośrednictwem nauczania**".



N. A. Polewoj

Tradycyjne monografie życia i działalności Mickiewicza rozstrząsają zazwyczaj niezmiernie szczegółowo martyrologię filaretów, samą zaś genezę uwięzienia i śledztwa sprowadzają niemal wyłącznie do złej woli senatora, który „wypadł z łaski" i chciał poprzez zainscenizowanie wykrycia rzekomo rewolucyjnej organizacji naprawić swą reputację nad Newą. Ta melodramatyczna interpretacja narzucała czytelnikom, uczniom i studentom sugestię, że zaszedł tu jakiś wypadek oderwany, że o uwięzieniu filaretów decydowała nie określona sytuacja polityczna w określonym czasie historycznym, lecz jedynie anomalia w stylu kryminalnym — skandaliczne nadużycie rosyjskiego dygnitarza oświatowego. Interpretacja taka była wynikiem bezkrytycznego przyjęcia oderwanych fragmentów III cz. „Dziadów" — (rozmowa Tomasza z Żegotą i „Sen senatora"[1]) za pełnowartościowy, zupełnie wystarczający dokument historyczny, przy jednoczesnym pominięciu szerszego i perspektywicznego spojrzenia na epokę.

Przypatrzmy się Europie w latach i miesiącach poprzedzających ów pochmurny poranek wileński, kiedy to kibitka policyjna ruszyła z młodym zesłańcem na Wschód po cichej i pochyłej ulicy, która z czasem otrzymała nazwę ulicy Adama Mickiewicza. „Stary porządek", jaki kongres wiedeński siłą narzucił Europie po upadku Napoleona — wskrzeszenie wszystkich monarchii i drobnych księstw feodalnych, które egzystowały w Europie przed wybuchem rewolucji francuskiej, w ich dawnych granicach, z zachowaniem dawnego, absolutystycznego (za wyjątkiem Francji i Królestwa) ustroju wewnętrznego — znajdował się od początku w poważnym niebezpieczeństwie. Był on w XIX wieku jaskrawym, szkodliwym i niemożliwym do utrzymania na dłuższą metę anachronizmem gospodarczym, społecznym i ideologicznym — wobec postępującego rozwoju kapitalizmu, emancypacji kolejno trzeciego i czwartego stanu i wzrostu świadomości narodowej. Od r. 1819 wybuchają rewolucje w koloniach hiszpańskich w Płd. Ameryce, w samej Hiszpanii, w Portugalii, Sardynii, Neapolu, wreszcie elektryzujące Europę długotrwałe powstanie w Grecji. W całej Europie tworzy się i narasta podziemie rewolucyjne. Narastanie jego sygnalizują liczne zabójstwa polityczne. W Paryżu dokonano zamachu stanu na delfina, w Berlinie w r. 1819 student - konspirator zasztyletował znanego dramaturga i działacza reakcyjnego Kotzebue'go. Europę pokrywa gęsta sieć „towarzystw tajemnych" — karbonariusze. Tow. Patriotyczne w Królestwie, Związki — „Północny" i „Południowy" w Rosji. Związane ideologicznie a nierzadko i organizacyjnie z narodowymi lożami wolnomularskimi, przejęły ich strukturę organizacyjną, stopnie wtajemniczenia, ekscentryczne nazwy. W konspiracji przoduje najczęściej młodzież uniwersytecka. Światły absolutyzm udemokratycznił znacznie wyższe szkolnictwo. Przenikanie młodzieży drobnomieszczańskiej czy drobnoszlacheckiej w mury uniwersytetów staje się zjawiskiem masowym. Jednocześnie jednak struktura feodalnego państwa nie może dać młodym absolwentom szerszych możliwości awansu społecznego, zaś cenzus kulturalny pozwalał im ostrzej widzieć i rozumieć otaczającą ich rzeczywistość. Wypadki polityczne i narastanie podziemia rewolucyjnego wywołują rosnący niepokój, czujność i gwałtowną akcję represyjną wielkich i drobnych sygnatariuszów św. Przymierza.

Aleksander I „anioł ludzkości", który do 1819 r. jeszcze kokietował Rosję i Europę niespełnionymi deklaracjami reform liberalnych, zwalcza teraz z całą energią ukrytego „szatana rewolucji bezbożnej". Lata dwudzieste są w całej Europie okresem wytężonego rozbudowywania aparatu policyjnego we wszystkich jego rozgałęzieniach — w Rosji słynna III Tajna Kancelaria J. C. M. Rygoryzm i ostrość cenzury tego okresu nabiera momentami wszelkich cech histerii[2]). Specjalnemu nadzorowi poddane zostają w całej Europie szkoły wyższe. Na terenie Niemiec istnieje od roku 1815 oficjalny zakaz zakładania jakichkolwiek stowarzyszeń młodzieżowych przy uniwersytetach.

O uchylenie tego zakazu dla jednego z takich stowarzyszeń — „Deutsche Burschenschaft" na próżno interweniuje sam Goethe u Voigta i Metternicha.

W cesarstwie rosyjskim Najwyższy Ukaz nakazał w r. 1819 zamknięcie wszystkich w ogóle stowarzyszeń, bez względu na cele i charakter. Ustawa Katarzyny II o wolności nauki staje się fikcją. Każdy niemal wykład profesora poddawany jest czujnej kontroli policyjnej. Nowe programy i instrukcje Ministerstwa Oświecenia i Spraw Duchownych (nawet konserwatysta, ideolog caryzmu — Karamzin nazywał w tym czasie ową instytucję „ministerstwem zaćmienia") usuwają od r. 1821 z uniwersytetów centralnych cały szereg „niemoralnych i zgubnych" dyscyplin, m. in. prawo porównawcze i historię prawodawstwa. Celem dydaktycznym studium historii politycznej miało być odtąd — wyraźnie o tym mówiły instrukcje — wykazanie wyższości rządów monarchicznych nad „przeklętą republiką". Nauki filozoficzne miały opierać się ściśle na listach św. Pawła. Przez centralne uniwersytety Rosji, podobnie jak na zachodzie — Niemcy — przesuwa się fala aresztowań, „wilczych biletów" i procesów. Represjom podlegają nie tylko studenci, lecz i senat akademicki. W Petersburgu kurator Runicz usunął brutalnie za wolnomyślność najwybitniejsze siły naukowe uniwersytetu — profesorów Galicza i Kunicyna.

Uniwersytet Wileński pozostawał przez długi okres czasu na uboczu tych „reform". Zawdzięczał to resztkom, malejących już wprawdzie, wpływów w Zimowym Pałacu księcia Adama Czartoryskiego oraz, najprawdopodobniej, liczeniu się rządu z opinią Królestwa. Zdarzyło się, że w maju 1823 r. uczeń V klasy gimnazjum wileńskiego napisał na tablicy szkolnej: „Niech żyje Konstytucja 3 Maja".

Pierwiastkowe i nie brane początkowo zbyt poważnie śledztwo, jakie pociągnęła ta dziecinna demonstracja patriotyczna, wykryło nieoczekiwanie, że nici od tego wydarzenia prowadzą wprost do jakiejś zakonspirowanej organizacji studenckiej o podejrzanie ekscentrycznej nazwie. Nic dziwnego, że fakt ten postawił na nogi cały aparat policyjny wileńskiej i zachodnio-białoruskiej guberni. Śledztwo wykazało rzeczywiście powiązanie moralistyczno-samokształceniowego programu organizacyjnego z bliżej nieuchwytnymi aspiracjami wyzwoleńczymi. Skazujące, stosunkowo nawet niskie wyroki są w kontekście historii dostatecznie zrozumiałe. Dlatego wyjaśnienia przez tradycyjną biografistykę faktu uwięzienia i wyroku machinacjami Nowosilcowa, który pragnął się „znowu w łaskę samodzierżcy wkręcić" — bez względu na to czy machinacje takie miały miejsce rzeczywiście, czy nie — są mało istotne i sprawy nie tłumaczą.

Inna zupełnie sprawa, że program wyzwoleńczy filaretów nie wyszedł właściwie jeszcze poza sferę abstrakcji, że był w tym momencie dla caratu zupełnie niegroźny i że większość skazanych przedwcześnie, niejako awansem dostała się pod koła historii.

DWIE DROGI

W mglisty poranek 24 października 1824 r. samotna kibitka policyjna oderwała się od podmiejskiego pejzażu „Grodu Gedymina" i pomknęła po mińskim trakcie „coraz ku dzikszej krainie". W bezbrzeżnej Białorusi mieli wodzić za nią oczyma przywykli zresztą do podobnego widoku chłopi przydrożnych chutorów i zastanawiać się „kto w niej jedzie?" („Droga do Rosji").

Jechał w niej prowincjonalny nauczyciel, jednocześnie autor dwóch tomików poezji, „w nowym duchu pisanych", o których złe wieści zaczęły już nawet docierać do dalekiej Warszawy i przenikać w tamtejsze klasycystyczne salony literackie.

W pogodny poranek 15 maja 1829 r. odjeżdża z piotrogradzkiego Kronsztadtu do Hamburga poeta o europejskim nazwisku. Przed rokiem już wylitografowała jego portret paryska galeria sławnych ludzi. Za miesiąc w Berlinie z wysokości słynnej katedry zwróci się do niego oficjalnie jako do najwybitniejszego poety słowiańskiego znakomitość nauki niemieckiej prof. Gans z propozycją napisania nowożytnej epopei o Napoleonie. Przez dwa tygodnie będzie go podejmował w swej weimarskiej rezydencji bożyszcze całego kulturalnego świata, 80-letni Goethe.

Europejskie uznanie twórczości autora „Ballad i romansów" zaczęło się w Rosji.

Czteroletnia droga przypadkowego zesłańca politycznego przez policyjne cesarstwo zbiega się z drogą peryferycznego romantyka wileńskiego do poważnej pozycji w romantyzmie europejskim.

Sygnałem szczęśliwego wkroczenia na tę drogę było szerokie uznanie, jakim zaczęła się cieszyć nowsza twórczość Mickiewicza w literackich i czytelniczych kręgach Moskwy i Petersburga. Miało ono ponadto co prawda i szczególne rosyjskie uwarunkowanie. Tradycyjna monografia i dawniejsze, a zawsze liczne (zainteresowanie historii tym okresem i kontaktami zesłańca z „przyjaciółmi — Moskalami" nie są bynajmniej wyłącznym zjawiskiem ostatnich lat, istnieją niemal od narodzin polskiej mickiewiczologii) studia specjalne[3]) widziały w tych skrzętnie kolekcjonowanych dowodach uznania, jedynie ważne ze względów ambicjonalno-patriotycznych świadectwo siły oddziaływania przyrodzonego polskiego geniusza. Publikacje te zaprezentowały szczególnie silnie zakorzenioną w naszej mickiewiczologii szkołę psychologiczną. W ich ujęciu droga dojścia Mickiewicza do pozycji międzynarodowej była drogą bliżej nieokreślonego rozwijania się talentu. Nie widziały jej zaś w dotarciu artystyczno-ideologicznym szczególnie utalentowanego poety, przedstawiciela kraju zapóźnionego kulturalnie w wyniku specyficznego przebiegu i zapóźnień społeczno-gospodarczych, do prądów literackich reprezentowanych w danym okresie w Europie**). Tradycyjnemu monografowi należy wskazać, że werterowska IV cz. Dziadów, konsekwentna ideologicznie, artystycznie nie stoi wiele niżej od „Sonetów Krymskich" i „Konrada Wallenroda", a mimo to na giełdzie europejskiego romantyzmu nie była omalże notowana. Należy szukać rozwiązania interesującego nas problemu drogą możliwie ścisłej konfrontacji dorobku romantyki mickiewiczowskiej do roku 1829 a reprezentatywnymi nurtami artystycznymi i ideologicznymi dwudziestych lat XIX w. w Rosji i w Europie.



Księżna Zenaida Wołkońska
W jej to salonach Mickiewicz był — jak pisze we wspomnieniach P. Wiaziemski — jednym z najulubieńszych i najbardziej poważanych gości. Poświęcił jej znany wiersz „Na pokój grecki"

PRZYBYLEC Z WILEŃSKIEGO ZACHODU

16 listopada, w przeddzień słynnego wylewu Newy, w którym mistycy w rodzaju Oleszkiewicza widzieli widomy znak rychłego upadku caratu, kibitka policyjna z dalekiego Wilna stanęła u celu podróży. „Nieznany przybylec" z wileńskiego Zachodu ujrzał po raz pierwszy ludne place i bulwary potężnej „Palmiry Północy". To określenie „nieznany", jakiego użył Mickiewicz w pamiętnikarskim fragmencie III cz. „Dziadów" mówiąc o sobie z pierwszych tyg. pobytu w Petersburgu nie jest właściwie zupełnie ścisłe. Nazwisko Mickiewicza-poety nie było obce literackiemu Petersburgowi przed datą 16 listopada. Poszczególne tomiki „Bal-

---

1) W tych samych „Dziadach" sprawa filarecka pokazana została w kontekście daleko szerszym, p. fragment „Salon Warszawski".

2) A. Brükner w „Geschichte der Russischen Literatur" — Berlin — 1905 r. — przytacza szereg faktów rozhisteryzowania cenzury w omawianym okresie. Przekreślano np. metaforę „m a j e s t a t przyrody", widząc w tym liberalistyczny brak poszanowania dla władzy cesarskiej, dla której termin ten miał być jakoby wyłącznie przeznaczony. N. A. Polewoj („Istoria russkoj słowiestnosti" — Petersburg — 1900 r.) — pisze, że w r. 1825 cenzura odrzuciła statystyczny artykuł o samobójstwach w Rosji, wychodząc z założenia, że może on wzbudzić „płoche i nieżyczliwe nastroje wobec dobrotliwych rządów".

s) Na potwierdzenie parę przykładów: W. Spasowicz — Mickiewicz i Puszkin pod pomnikiem Piotra, rok 1887; St. Tarnowski — Mickiewicz i Puszkin — Kwart. Hist. rok 1888; J. Tretiak — Mickiewicz w Odessie, rok 1890, Mickiewicz i Puszkin, rok 1906; J. Kleiner — Miskiewicz, Puszgin, Falkonet, 1926 r.; W. Lednicki — Puszkin, 1926 r., Przyjaciele — Moskale, r. 1932; Blueth — Mickiewicz, Rylejew, r. 1927; praca zbiorowa — Puszkin r. 1837—1937; liczne rozrzucone po pismach art. S. Kułakowskiego.

Wszystko, poza rozprawą Tretiaka, która stanowi doskonały przykład ahistorycznego podejścia do literatury, ma charakter przyczynkarsko-informujący.

**) Sama nawet chronologia i fluktuacja kierunków romantycznych w różnych krajach nie była dla naszych wczorajszych badaczy romantyzmu zbyt przejrzysta na co ostatnio zwracał uwagę Stawar w świetnym artykule „Paradoksy romantyczne", „Odrodzenie" — Nr. 51.

lad i romansów" dotarły tu jeszcze w połowie 1822[4]), a w styczniu 1823 niezmiernie ceniony w stolicy almanach poetycki „Gwiazda Polarna" przyniósł licznym „miłośnikom literatury" zręczny przekład „Lilii" i „Przypomnienia" Autorem przekładów był poeta-redaktor, Konrad Rylejew, późniejszy przywódca rewolucji 14 dekabra — polonofil. Przekłady te jednak większego zainteresowania nie wzbudziły, przeszły przez opinię literacką i czytelniczą niemal bez echa. Nie mówią nic o nich liczne (specyficzna cecha okresu — spadek obyczajowy po sentymentalizmie) memoiry i korespondencja literacka tego czasu. A przecież czytelnik: ziemianin, emancypujący się powoli bourgeois, „niepotrzebny" inteligent, chyba jako urzędnik „niższych czynów" którego samodzierżawny reżim po krótkotrwałym okresie reformistycznym (1801—10) zdecydowanie odsunął od współodpowiedzialności w sprawach państwa, żywo interesował się literaturą i jej nowościami zagranicznymi[5]) Wyjątek stanowi pochlebna notatka czołowego romantyka starszego pokolenia Żukowskiego. Ale zainteresowania Żukowskiego w tym czasie nie są już równoznaczne z zainteresowaniami literackimi okresu. Stale ten sam, romantyk sentymentalny (preromantyk), który olśnił w poprzednim dziesięcioleciu rosyjską opinię literacką swymi „narodowymi" balladami — „Świetlaną" i „Ludmiła", w dwudziestych latach znacznie stracił na popularności.

O Mickiewiczu-poecie wiedziano więc nad Newą, tym niemniej nie zainteresowano się nim żywiej.

Czytelnik tradycyjnej monografii ma wszystkie dane po temu, by wierzyć święcie, że stosunek ten zmienił się z miejsca radykalnie już w czasie krótkotrwałego pobytu Mickiewicza w białej stolicy. Czyta przecież, że już w grudniu zbliża się do poety grupa młodych pisarzy, głównie współpracowników „Gwiazdy Polarnej" — wśród nich sam Rylejew. Jednak zbliżenie się niedawnego tłumacza do autora nie może, naturalnie, służyć za dowód wzrostu popularności Mickiewicza na terenie rosyjskim, a zainteresowanie się autorem „Ballad i romansów" ze strony reszty grupy „Gwiazdy" wynikało zaś właściwie z pobudek czysto politycznych[6]). Grupa ta stanowiła aktyw rewolucyjnego Związku Północnego, który organizując przewrót zaczął nawiązywać w roku 1824 kontakty z polskim podziemiem. Grupę zainteresował bliżej nie poeta, lecz działacz tajnych kół młodzieżowych, człowiek o zbliżonych przekonaniach politycznych, osobistość popularna „w swoim narodzie"). Owocem tego zbliżenia była nie garść nowych przekładów czy artykuł elektryzujący opinię literacką faktem przybycia czołowego romantyka polskiego, lecz — jak to stwierdziły ostatnie badania radzieckich mickiewiczologów — powierzenie autorowi „Lilii" funkcji łącznikowych na południu.

Od czasu owych nieliterackich „przyjaźni" w Petersburgu przez okres niemal dwóch lat — w tym rok spędzony w Moskwie — mieście bogatym w kopuły cerkiewne, pisma i literatów — aż do października 1826 r. nie znajdujemy w biografii Mickiewicza żadnych danych, które by świadczyły o jakimś głębszym zainteresowaniu się nim jako poetą w rosyjskich sferach literackich.

Grupa „Gwiazdy Polarnej" została po nieporadnej rewolucji „carskimi wyroki" wykreślona z listy żyjących lub zesłana „w katorżne kaźnie" W okresie tych dwóch lat bibliografia mickiewiczianów na terenie Rosji nie notuje żadnych nowych pozycji.

LAUR AJUDAHU

I nagle pod datą 29 października biografia informuje nas dość nieoczekiwanie, że Mickiewicz uczestniczy w „chrzcinach" nowego moskiewskiego pisma literackiego, „Moskiewskij Wiestnik", które właśnie zakłada Puszkin z grupą młodych literatów-intelektualistów — „lubomudrów" (miłośników mądrości). Na uroczystość tę zaproszono jedynie kilka osób — wyłącznie najpoważniejsze pióra i nazwiska.

Fakt ten skłania nas do uważniejszego przyjrzenia się biografii nieco wstecz od tej daty. Powiadamia nas ona, że Mickiewicz starał się o wydanie „Sonetów Krymskich", które rzeczywiście 26 października otrzymały nieczęsto stawianą pieczątkę „dozwoleno cenzuroju" Nieobeznany w stosunkach panujących w carskiej cenzurze udał się — jak zwykle czynią debiutanci — po radę i pomoc do doświadczonych i uznanych literatów — Polewoja i Bułgarina. Od miesiąca już rękopisy sonetów musiały krążyć po gabinetach „dzieci Apollina" i salonach wpływowych impresariów. Od października popularność Mickiewicza na gruncie literackim wzrasta w tempie wprost błyskawicznym. Monografia przytacza dziesiątki dowodów tej popularności, która dochodzi niejednokrotnie granic uwielbienia. Biografia przesuwa teraz przed nami barwną panoramę spotkań wypełnionych dymem fajkowym, wieczorów dyskusyjnych w ubogich i dostatnich mieszkaniach literatów i inteligenckich intelektualistów. Wprowadza nas w niekończące się debaty różnego odcienia liberałów na tematy literatury i życia, związków między Rosją i Słowiańszczyzną, idealnych reform społecznych, wzajemnego stosunku świata nadprzyrodzonego i materii. Dyskusję toczą oderwani od bezpośredniego oddziaływania na rzeczywistość idealiści i marzyciele — zdeklarowani melancholicy i wierzący wbrew nadziei marzyciele-optymiści. Wyrazy uznania dla wkrótce już, autora wybitnie niebezpiecznego, rewolucyjnego „Konrada Wallenroda" padają ze strony zgoła dla nas nieoczekiwanej — ze strony oficjalnych literatów carskiego reżimu — Bułgarina, Griecza. Uznaniu, przyjaźniom i triumfalnemu wejściu w życie literackie Moskwy towarzyszy szybki awans towarzyski drobnego urzędnika Gen. Gubernatorstwa w wielkoświatowych modnych salonach.

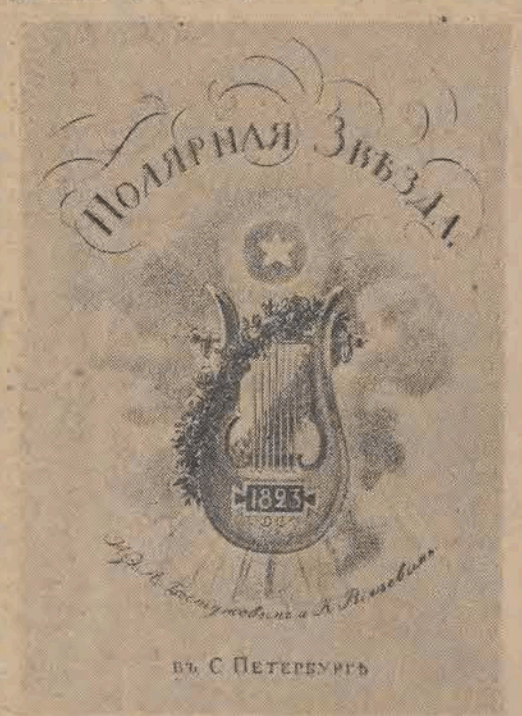
Biografia wprowadza nas z Mickiewiczem pod blask kandelabrów, w gwar umiarkowanie liberalnych pompejańskich salonów księżny Zenaidy Wołkońskiej, osoby, której wykształcenie, maniery, smak artystyczny i bogactwo uwielbiała cała Europa. Do urzędnika bardzo mizernego „czynu" zbliża się generał-gubernator Moskwy, wpływowy książę Golicyn, przed kilku laty najwpływowszy człowiek Rosji. Gdy za pół roku opuszcza Mickiewicz „Białokamienną", udając się nad Newę w Petersburgu — jak pisze były filareta Malinowski — „przyjazd jego wywołał niezwykła sensację". Rosjanie i Polacy na wyścigi śpieszą okazać mu swój szacunek. „U nas tu — pisze — nieustanny karnawał, obiady następują jeden po drugim, przyjmować zaproszeń Mickiewicz nie nadąża".

Jak wytłumaczyć tę nagłą, niesłychaną popularność zapoznanego do niedawna Mickiewicza w rosyjskich kołach literackich, szybki awans na terenie życia towarzyskiego w stanowej i hierarchicznej Rosji? Bez wątpienia odgrywał tu pewną rolę urok towarzyski „nieśmiałego" jakoby — według sentymentalnej monografii (Kallenbach) — poety. „Kto tylko poznał z bliska Mickiewicza, ten musiał go pokochać" — pisze we wspomnieniach redaktor „Moskiewskiego Telegrafu" — Polewoj[7]) Sprowadzać przyczynę popularności wybitnego poety do walorów causer'a jest absurdem. A zresztą popularność Mickiewicza bynajmniej nie maleje w następnym pokoleniu literackim, które zna już go wyłącznie z utworów — Bieliński, Lermontow, Gogol, Hercen, Turgieniew.

Przyjrzyjmy się dokumentom — dla historyka literatury i jej społecznego oddziaływania — zasadniczym, jakimi są mickiewicziana rosyjskie, począwszy od wspomnianych już wyżej przekładów Rylejewa. Otwiera je w lutym 1827 roku obszerny artykuł o twórczości Mickiewicza w najpoważniejszym naówczas piśmie liter.-społ. Rosji — „Moskiewskim Telegrafie", organie lojalnych liberałów. Wyszedł on spod pióra głównego publicysty czasopisma ks. Piotra Wiaziemskiego. Czytamy w nim m. in.: „Mickiewicz należy do małej liczby wybranych, którzy mają szczęśliwe prawo przedstawiać sławę literatury swoich narodów. Zdaje się, że można śmiało powiedzieć, że należy mu się zaszczytne miejsce we współczesnym pokoleniu poetów". Dla pełnego umotywowania tego sądu zamieszcza obok artykułu własny przekład reprezentacyjnego, według niego utworu. Jest to pełny przekład prozą 18 Sonetów Krymskich. Rok 1828 przynosi kolejno nowe przekłady: „Stepy Akermańskie", „Żegluga", „Bachczysaraj", w najpopularniejszym od zamilknięcia „Gwiazdy Polarnej" (przestała wychodzić po 14 dekabra) almanachu „Kwiaty Północne" — Iliiczewski, Wasil Szczasnyj w „Albumie Północnych Muz" (Petersburg) ogłasza dla odmiany tłumaczenia „Czatyrdachu", „Ałuszty" i Ciszy morskiej". Niemal każdy miesiąc przynosi jakieś nowe przekłady. Intelektualny przywódca „lubomudrów" — Szewyriew odkłada na szereg dni lancet krytyka i publicysty i łamie się jako tłumacz z oporną strofą „Ruin zamku w Bałakławie".

Nieszczęśliwy poeta ślepiec, Jan Kozłow, najbardziej utalentowany obok Żukowskiego tłumacz romantyków zachodnich, daje cenne, jakkolwiek nie zawsze utrzymane w rygorach sonetu, tłumaczenia całego cyklu. Niesposób wymieniać wszystkiego. Przekłady opisu „boskiej Taurydy" ciągną się i przez lata trzydzieste. Łańcuch ten kończy się dopiero wraz z wygaśnięciem okresu literackiego[8]). Jeszcze w roku 1840, na rok przed swą tragiczną śmiercią na Kaukazie, przekłada „Widok gór ze stepów Kozłowa" ostatni z wielkich romantyków rosyjskich — Michał Lermontow.

W pierwszych miesiącach 1828 r. Puszkin otwiera tłumaczeniem „Prologu" cykl tłumaczeń fragmentów „Konrada Wallenroda". (Poznański zamieszcza w almanachu „Pierwiosnek", „Alpuharę", Lubicz-Romanow przekłada „Wilię" i „Pieśń Wajdeloty" itd.).



Winieta almanachu „Gwiazda Polarna" red. w latach 1822—25. Tu w r. 1823 pojawiły się pierwsze na terenie Rosji przekłady wierszy Mickiewicza

Dużą ilość tłumaczeń uzyskuje, również jak sonety orientalny, „Farys". Znamienne jest, że dawniejszy dorobek poetycki odkrytego i tak niezwykle popularnego romantyka, nadal nie znajduje prawie miejsca w rosyjskich czasopismach literackich i zbiorkach poezji. Dopiero w 1829 r., kiedy mamy już całe wiązania tłumaczeń sonetów i nawet, dopiero w 1828 napisanego, „Farysa", pojawiają się w „Moskiewskim Telegrafie" fragmenty II części „Dziadów" i „Kurhanku Maryli" i to niemal wszystko.[9])

Tym bardziej uderza nas fakt, że przy niepopularności dawnego dorobku, również na terenie krytyki rosyjskiej, krytyka ta teraz z miejsca umieszcza Mickiewicza w panteonie najwybitniejszych twórców świata, między Szekspirem, Goethem, Byronem, Moorem, Schillerem — Szewyriew w recenzji o „Manfredzie" — „Wiestnik" 1828, J. Kiriejewskij — późniejszy główny ideolog stronnictwa „słowianofilów" w „Telegrafie".

Podstawę do tych sądów daje krytykom jedynie ocena sonetów i „Konrada Wallenroda", gdy tymczasem my europejską wielkość Mickiewicza skłonni jesteśmy mierzyć dopiero utworami późniejszymi.

Uderza nas w tym całym zjawisku — popularność towarzyska, rekordowa ilość tłumaczeń, wysoki i przedwczesny osąd krytyków — szczególna rola sonetów — zbiorku, który obecnie i w Polsce odczuwamy jako utwór raczej błahy, interesujący jedynie ze względu na plastykę opisu. Czym wytłumaczyć to zjawisko?

Czy tym, że — jak często podaje tradycyjna monografia — Mickiewicz spoglądając na fale z „Judahu skały", poczuł w sobie odpływ uczuć dla kochanki lat dawnych i to pozwoliło rozwinąć się abstrakcyjnemu talentowi w stopniu jeszcze silniejszym?

Fakt uznania czy nieuznania wybitnego utworu artystycznego warunkuje nie psychologia twórczości, lecz socjologia literatury.

Jeżeli „Ballady i romanse" czy „Dziady" — zupełnie odmiennie niż w Polsce — nie odbiły się szerszym echem w rosyjskim życiu literackim, znaczy to, że były obce ówczesnym zainteresowaniom ideologicznym i artystycznym Rosji i rosyjskiego czytelnika. Fakt, że sonety momentalnie znalazły w Petersburgu i w Moskwie entuzjastycznego odbiorcę i zapoczątkowały tam sławę poety świadczy, że trafiły i na odpowiedni teren, i na szczęśliwy dla siebie moment historyczny w życiu Rosji.

C. d. n.

Tadeusz Chróścielewski

---

[4]) List Zana do Mickiewicza, z Petersburga, 1822 r.

[5]) P. fragment znanego listu Odyńca do Mickiewicza z r. 1826: „Zostaliśmy o cały wiek w literaturze. Tutaj każdy nowy wierszyk Goethego obudza powszechny entuzjazm, zaraz jest tłumaczony i komentowany. Każdy nowy romans Walter Scott'a natychmiast w obiegu". Uwagi te są zupełnie aktualne również w odniesieniu do lat 1822—4. Rząd, o ile cenzura nie dopatrzyła się w rosyjskim czy obcym utworze akcentów politycznych ustosunkowywał się do żywych zainteresowań literackich społeczeństwa raczej przychylnie; w pewnym stopniu odwracały one uwagę od bieżącego życia politycznego.

[6]) Dokładnie odzwierciedla ten właśnie stosunek grupy do Mickiewicza list red. „Gwiazdy" — Bestużewa, polecający Mickiewicza „wtajemniczonemu" poecie z Południa — Tumańskiemu.

[7]) Polewoj, liberał, pierwszy w dziejach społecznych Rosji publicysta - mieszczanin, wielki przyjaciel Mickiewicza. „Moskiewski Telegraf" był w latach 1825—1834 najpoważniejszym pismem literackim Rosji. Początkowo cieszył się jak najlepszą „opinią" ze strony czynników rządzących. Wkrótce jednak zaczęto mu zarzucać „działalność jakobińską" — popularyzacja teorii ekonomicznych Smith'a i Humboldta. Polewoj zostaje aresztowany, pismo zaś zamknięte.

[8]) Warto przy okazji zaznaczyć, że parnasizm rosyjski przeprowadza w latach siedemdziesiątych renesans „Sonetów Krymskich", m. in. doskonałe tłumaczenia Anastazego Feta. Lecz to już zjawisko zupełnie inne.

[9]) Ballady „Czaty" i „Trzech Budrysów", które, jak wiadomo, przełożył w r. 1833 A. Puszkin, powstały już w okresie pobytu w Rosji; od młodzieńczych ballad kowieńskich różnią się ideologicznie i artystycznie.

Jerzy Walenczyk

DROGA

Drogi losu znaczone na ludzkiej dłoni
to czarne rozwidlenia gałęzi
które kończą się nagle
nierozdziane z szat niepewności
Drogi gotowe do odjazdu
oddychające swym przyszłym przedłużeniem
wianiem echa budzącego przydrożne kamienie
które gromadzą na swych piersiach ptaki
rozkładające równomierne spojrzenia
i ruchem skrzydeł udzielające nowego błogosławieństwa
zwracając ziemi co ziemskie

Dobrze jest mieć pieśń milionów przy sobie
która już więcej nie opiera się o drogi
znaczone na ludzkiej dłoni
będące nieraz niespodziewanie
kończącymi się rozwidleniami gałęzi
ale na dłoni, która nigdy nie wystygnie
i młotów nie zanurzy w rzece zapomnienia
ale na czekającej wszystkimi pięcioma palcami
by skargę gdziekolwiek się pojawi
wepchnąć w gardziele sprawców
i by jedynie w piosnce tych
co po nas przyjdą
przesączała się z czasu
który nigdy nie powróci
i udzielała otuchy
sercom i dłoniom

* * *

Blask przesiąka ślady Twoich kroków
Wieczór gniazdo ujeżdżone na sen ruchu
Miasto ćwiekami latarń przybite do ziemi
Płetwy lamp wyślizgują się ciężarowi mroku

Studnię po studni
komin po kominie
napełnia rosnąca głusza
pod niebo pąki wypuszcza
wyskakuje wskazówka z cyfry
Wskazówka ostrzy się na obracającym dobę cyferblacie
Ulica owinęła się wokół latarni
Cisza owinęła się wokół oczu
Za księżycem ukryło się niebo

W parku pierwszego spotkania
na starej ławce
powracają oczy
obok których nic nie widzisz
powracają usta
przy których chcesz być wcześniej
niż każda sekunda
Pamięć ocaliła je po ciemku
Nie wiesz co się dzieje w jej snach
To pada kolor jej włosów
sczesany z kędziorów
Otwórz niebo nad nami
które nosisz w małej rączce

Nadciąga szelest krwi

Włodzimierz Lenin

ZE „SZKICU TEZ W KWESTII ROLNEJ"*)

1. Jedynie proletariat miejski i przemysłowy, kierowany przez partię komunistyczną, może wyzwolić masy pracujące wsi od ucisku kapitału i wielkiej własności obszarniczej, od ruiny i od wojen imperialistycznych, zawsze nieuchronnych przy zachowaniu ustroju kapitalistycznego. Dla mas pracujących wsi nie ma innego ratunku poza sojuszem z proletariatem komunistycznym, poza ofiarnym poparciem jego rewolucyjnej walki o zrzucenie jarzma obszarników (wielkich właścicieli ziemskich) i burżuazji.

Z drugiej strony, robotnicy przemysłowi nie mogą spełnić swojej światowej, historycznej misji wyzwolenia ludzkości od ucisku kapitału i od wojen, jeśli będą zasklepiali się w ramach interesów wąsko-cechowych, wąsko-zawodowych, i zadowoleni z siebie poprzestawać będą na troskach i zabiegach o poprawę swoich, niekiedy znośnych, mieszczańskich warunków bytu.

Tak właśnie często zachowuje się w wielu przodujących krajach „arystokracja robotnicza", która stanowi podstawę rzekomo socjalistycznych partii II Międzynarodówki, reprezentujących w rzeczywistości najbardziej zaciekłych wrogów socjalizmu, jego zdrajców, mieszczańskich szowinistów, agentów burżuazji wewnątrz ruchu robotniczego. Proletariat stanowi klasę rzeczywiście rewolucyjną, działającą rzeczywiście na sposób socjalistyczny, jedynie pod tym warunkiem, że występuje i postępuje jako awangarda całego ludu pracującego i wyzyskiwanego, jako wódz w jego walce o obalenie wyzyskiwaczy, to zaś jest niewykonalne bez wniesienia walki klasowej na wieś, bez zjednoczenia mas pracujących wsi wokół komunistycznej partii proletariatu miast, bez wychowania tych mas przez proletariat.

2. Pracujące i wyzyskiwane masy wsi, które proletariat miast powinien poprowadzić do walki, w każdym zaś razie przeciągnąć na swoją stronę, reprezentowane są we wszystkich krajach kapitalistycznych przez następujące klasy:

Po 1-sze, przez proletariat rolny, robotników najemnych (kontraktowych, sezonowych, dniówkowych), zdobywających sobie środki do życia pracą najemną w kapitalistycznych przedsiębiorstwach rolnych. Samodzielna, wyodrębniona spośród innych grup ludności rolniczej, organizacja tej klasy (i polityczna, i wojskowa, i zawodowa, i spółdzielcza, i kulturalno-oświatowa itd), wzmożona propagandą i agitacja wśród tej klasy przeciągnięcie jej na stronę Władzy Radzieckiej i dyktatury proletariatu stanowi **podstawowe** zadanie partii komunistycznych we wszystkich krajach.

Po 2-gie, przez pół proletariuszy, czyli chłopów parcelowych, tj. tych, którzy zdobywają sobie środki do życia częściowo pracą najemną w kapitalistycznych przedsiębiorstwach rolnych i przemysłowych, częściowo— pracując na własnym lub wydzierżawionym skrawku ziemi, dostarczającym ich rodzinom jedynie pewnej części artykułów żywnościowych. Ta grupa wiejskiej ludności pracującej jest bardzo liczna we wszystkich krajach kapitalistycznych; jej istnienie i jej szczególną sytuację zamazują przedstawiciele burżuazji oraz żółci „socjaliści", należący do II Międzynarodówki częściowo świadomie oszukując robotników, częściowo ślepo poddając się rutynie filisterskich poglądów i plącząc tę grupę z całą masą „chłopstwa" w ogóle. Taki sposób burżuazyjnego ogłupiania robotników najbardziej rzuca się w oczy w Niemczech i we Francji, poza tym w Ameryce i w innych krajach. Przy należytym postawieniu pracy przez partię komunistyczną, grupa ta stanie się jej niezawodnym zwolennikiem, gdyż położenie takich proletariuszy jest bardzo ciężkie, i wygrana, jaką dla nich przedstawia Władza Radziecka i dyktatura proletariatu, jest olbrzymia i natychmiastowa.



Włodzimierz Lenin

Po 3-cie, przez drobne chłopstwo, tj. drobnych rolników, władających na podstawie prawa własności lub dzierżawy takimi niewielkimi działkami ziemi, że po zaspokojeniu potrzeb swojej rodziny i swojego gospodarstwa nie uciekają się oni do najmu obcej siły roboczej. Warstwa, jako warstwa, „bezwarunkowo wygrywa wskutek zwycięstwa proletariatu, które przynosi jej od razu i całkowicie: a) zwolnienie od opłaty czynszu dzierżawnego, lub od oddawania połowy plonów (np. metayers, połownicy we Francji, również we Włoszech i in.) na rzecz wielkich właścicieli ziemskich; b) zwolnienie od długów hipotecznych; c) wyzwolenie od wielorakich form ucisku i zależności od wielkich właścicieli ziemskich (obszary leśne i ich użytkowanie itp.); d) natychmiastową pomoc ich gospodarstwom ze strony proletariackiej władzy państwowej (umożliwienie korzystania z narzędzi rolniczych i częściowo z zabudowań w wywłaszczonych przez proletariat wielkich gospodarstwach kapitalistycznych, natychmiastowe przekształcenie przez państwową władzę proletariacką spółdzielni wiejskich i zrzeszeń rolnych z organizacyj, służących przy kapitaliźmie przede wszystkim bogatym i średnim chłopom, na takie, które będą udzielały pomocy przede wszystkim biedocie, tj. proletariuszom, półproletariuszom, drobnym chłopom itp. i wiele innych korzyści).

Równocześnie partia komunistyczna powinna sobie wyraźnie uświadomić, że w okresie przejściowym od kapitalizmu do komunizmu, tj. w czasie dyktatury proletariatu, w warstwie tej są nieuchronne, przynajmniej częściowo, wahania w stronę niczym nieograniczonej wolności handlu i wolności wykorzystywania praw własności prywatnej, gdyż warstwa ta, będąc już (choć w niewielkim stopniu) sprzedawcą artykułów spożycia, zdemoralizowana jest przez spekulację i nawyki własnościowe. Jednakże przy stanowczej polityce proletariackiej, przy całkowicie zdecydowanym rozprawieniu się zwycięskiego proletariatu z wielkimi właścicielami ziemskimi i bogatymi chłopami, wahania tej warstwy nie mogą być znaczne i nie są w stanie zmienić faktu, że na ogół będzie ona po stronie przewrotu proletariackiego.

3. Razem wzięte trzy wskazane wyżej grupy ludności wiejskiej we wszystkich krajach kapitalistycznych stanowią jej większość. Dlatego powodzenie przewrotu proletariackiego nie tylko w miastach, lecz również na wsi jest całkowicie zapewnione. Pogląd przeciwny jest szeroko rozpowszechniony, lecz utrzymuje się, po pierwsze, jedynie wskutek systematycznego oszustwa, uprawianego przez naukę burżuazyjną i statystykę, które za pomocą wszelkich środków przesłaniają głęboką przepaść oddzielającą wymienione klasy na wsi od wyzyskiwaczy, obszarników i kapitalistów, jak również pół-proletariuszy i drobnych chłopów z jednej strony, od bogatych chłopów, z drugiej; po wtóre, utrzymuje się on wskutek nieumiejętności i niechęci bohaterów żółtej, Drugiej Międzynarodówki i zdeprawowanej przywilejami imperialistycznymi „arystokracji robotniczej" krajów przodujących, niechęci do prowadzenia rzeczywiście proletariacko-rewolucyjnej propagandy, agitacji, pracy organizacyjnej wśród biedoty wiejskiej; cała uwaga oportunistów obracała się i obraca wokół wynajdywania dróg teoretycznej i praktycznej ugody z burżuazją, między innymi z bogatym i średnim chłopstwem, nie zaś wokół rewolucyjnego obalenia rządu burżuazyjnego i burżuazji przez proletariat; po trzecie, utrzymuje się wskutek uporczywego, zakorzenionego już przesądu (związanego ze wszystkimi przesądami burżuazyjno-demokratycznymi i parlamentarnymi), niepojmowania prawdy, która została całkowicie udowodniona przez marksizm pod względem teoretycznym i całkowicie potwierdzona przez doświadczenie rewolucji proletariackiej w Rosji, a mianowicie: że niesłychanie zahukana, rozdrobniona, zgnębiona, skazana we wszystkich najbardziej przodujących krajach na półbarbarzyńskie warunki bytu ludność wiejska wszystkich trzech wskazanych kategorii, będąc pod względem ekonomicznym, społecznym i kulturalnym zainteresowana w zwycięstwie socjalizmu, może zdecydowanie poprzeć proletariat rewolucyjny dopiero po zdobyciu przezeń władzy politycznej, dopiero **po** zdecydowanym rozprawieniu się przezeń z wielkimi właścicielami ziemskimi i kapitalistami, dopiero **po tym**, gdy ci zgnębieni ludzie zobaczą **w praktyce**, że mają zorganizowanego wodza i obrońcę, dostatecznie potężnego i nieugiętego, by pomagać i kierować, by wskazać słuszną drogę.

4. Przez „średnie chłopstwo" w sensie ekonomicznym rozumieć należy drobnych rolników, którzy posiadają na prawach własności lub dzierżawy również niewielkie działki ziemi, takie jednak, które po 1-sze, w warunkach kapitalizmu zapewniają z reguły nie tylko skąpe utrzymanie dla rodziny i gospodarstwa, lecz stwarzają także możność utrzymywania pewnej nadwyżki, mogącej przynajmniej w lepszych latach przekształcić się w kapitał, po 2-gie, ci drobni rolnicy uciekają się dość często (na przykład każde gospodarstwo spośród dwóch lub trzech) do najmu obcej siły roboczej. Jako konkretny przykład średniego chłopstwa w przodującym kraju kapitalistycznym może posłużyć w Niemczech, według spisu z 1907 roku, grupa gospodarstw od 5 do 10 hektarów, w której liczba najętych robotników rolnych wynosi w przybliżeniu trzecią część łącznej liczby gospodarstw tej grupy. We Francji, gdzie bardziej rozwinięte są uprawy specjalne, na przykład uprawa winnic, wymagająca szczególnie wielkiego nakładu pracy na roli, odpowiednia grupa korzysta z cudzej najemnej siły roboczej prawdopodobnie w rozmiarach nieco szerszych.

Rewolucyjny proletariat nie może sobie stawiać za zadanie — przynajmniej w najbliższej przyszłości i w początkowym okresie dyktatury proletariatu — przeciągnięcia tej warstwy na swoją stronę. Powinien on ograniczyć się do zadania neutralizowania jej, tj. do tego, aby nie udzielała czynnego poparcia burżuazji w jej walce z proletariatem. Wahania tej warstwy między jedną a drugą siłą są nieuniknione i na początku nowej epoki przeważająca jej tendencja w rozwiniętych krajach kapitalistycznych będzie po stronie burżuazji. Przeważa bowiem tutaj światopogląd i nastroje posiadaczy; zainteresowanie w spekulacji, w „wolności" handlu i własności jest bezpośrednie; antagonizm w stosunku do robotników najemnych jest bezpośredni. Zwycięski proletariat przyniesie tej warstwie niezwłoczną poprawę jej położenia, znosząc czynsz dzierżawny i hipoteki. W większości krajów kapitalistycznych władza proletariacka bynajmniej nie powinna przeprowadzać natychmiastowego, całkowitego zniesienia własności prywatnej, i w każdym razie gwarantuje ona, że zarówno drobny, jak średni chłop nie tylko zachowa swą działkę gruntu, lecz również powiększy ją do rozmiarów całego zazwyczaj dzierżawionego przezeń obszaru (zniesienie czynszu dzierżawnego).

*) Lenin napisał „Szkic tez" w początku czerwca 1920 r.

M.ᵉsław Jażdżyński

ROZMOWY Z AGRONOMAMI

Podstawę do rozmów stanowią odpowiedzi agronomów gminnych Związku Samopomocy Chłopskiej z terenu województwa łódzkiego na ankietę skierowaną do nich przez redakcję tyg. „Wieś". Ankietę rozesłaliśmy wczesną wiosną ubiegłego roku, a więc w czasie, kiedy bitwa o chleb rozgrywana przez nasze rolnictwo, rozgorzała na dobre. Agronomom gminnym wyznaczono w tej bitwie poważne zadanie. Mówiąc krótko — mieli oni podnieść wydajność produkcji rolnej i planowo ją zorganizować.

Ankieta nasza miała funkcję wywiadowczą. Chodziło nam o to, abyśmy mogli się na podstawie wypowiedzi zorientować, kim są agronomowie gminni i jakie zgłaszają plany gospodarcze dla swoich gmin, jak wyobrażają sobie pomyślne rozegranie bitwy o chleb.

Zebraliśmy ponad 100 odpowiedzi, przy czym wszystkie powiaty województwa łódzkiego były co namniej przez kilka ankiet reprezentowane. Uzyskany materiał nie tylko orientuje dostatecznie w planach gospodarczych postawionych przez agronomów, ale pozwala określić społeczno-gospodarcze ich konsekwencje, pozwala ustalić klasowy charakter tych planów.

1. SENS POWROTU

Wasze życiorysy, koledzy agronomowie, czyta się z prawdziwym zdumieniem. Wszyscy jesteście chłopami, ale tylko znikoma część spośród Was (zaledwie 20 na przeszło 100) nie opuszczała swoich rodzinnych wiosek, bez przerwy pozostawała na gospodarstwie. Zdecydowana większość, często w bardzo młodym wieku, wyruszyła „w świat" szukać pracy. Stąd też nie ma chyba takiego zawodu, którego nie dałoby się odczytać w Waszych życiorysach.

Dozorcy domów po miastach, czeladnicy szewscy, urzędnicy z poczt wiejskich, pisarze gminni, dworscy ogrodnicy, stróże po fabrykach, robotnicy z kopalń i tartaków — to Wasze poprzednie zawody. Jest wśród Was dawny malarz pokojowy, jest i taki, który w swoim życiu był już drogomistrzem, kapralem w wojsku, robotnikiem betoniarskim i ekspedientem w sklepie kolonialnym—a ma dopiero 33 lata.

Jesteście chłopskimi tułaczami, z ciężkich dla naszej wsi — przedwojennych lat. Właśnie nędzy z tamtych lat zawdzięczacie swoje wędrówki od zawodu do zawodu. Szukaliście rozpaczliwie zajęcia, chwytali się każdej pracy, jaką los nawinął. Nie można było wtedy inaczej. Szanse na egzystencję w przeludnionych wsiach — prawie żadne. Na rodzinnej parceli grunt szybko uciekał spod nóg. Działy rodzinne, długi hipoteczne zabierały ziemię kawałek po kawałku. Nasz niedorozwinięty przed wojną przemysł wchłaniał znikomy odsetek zbędnej na wsi ludności. To stąd ta tułaczka od jednego zajęcia do drugiego.

Czytam ze wzruszeniem, jak to poza rodzinną wsią szukało pracy kilku radykalnych wiciarzy i „wyzwoleńców", jak szukał jej dawny robotnik folwarczny K.P.P.-owiec.

No, ale po wojnie ściągnęliście znowu na rodzinne wsie i chcecie dla nich pracować. Myślę, że powróciliście dlatego, ponieważ przekonaliście się, iż jest teraz w Ludowej Polsce miejsce na wsi dla Was i dla Waszej pracy. Zapewne chcecie teraz tak pokierować gospodarką w gminach, aby ten Wasz przedwojenny los nie powtórzył się więcej na następnych pokoleniach chłopskich.

Są pośród Was różni ludzie. Są tacy, których nie wyrzucała nędza w świat za zarobkiem — bogaci chłopi, dawni rządcy dworscy, obecnie również agronomowie.

Piszę o tym dlatego, że ci bogaci inaczej chcieliby gospodarować niż biedni, chociaż razem z wiejską biedotą przechodzili te same kursy samopomocowe dla agronomów. Oni mają taką samą, albo nawet większą wiedzę fachową z zakresu rolnictwa. Ale wiedza to jeszcze nie wszystko. Wiedzy można używać w interesie bogaczy wiejskich, jak również w interesie średniaków i drobnorolnych. A to przecież nie jest to samo, bo interesy biednych są inne niż bogatych chłopów. Stąd tak ważna jest Wasza postawa społeczna.

Posłuchajcie, co chciałby zrobić ze swoją gminą Wasz kolega agronom — bogacz wiejski.

2. GOSPODARKA RÓŻNYCH KLAS

„Przedsiębiorcy"

Jego nazwiska podawał tu nie będę. Nie o niego mi chodzi. Ważne jest to, że tacy jak on są pośród Was i, że takich jest wśród chłopów wielu. Ten agronom na ponad 10-cio hektarowym gospodarstwie będzie tylko reprezentował wszystkich jemu podobnych.

Przed wojną pełnił — proszę Was — funkcję prezesa rady nadzorczej, a później był gospodarzem spółdzielni. W czasie wojny i okupacji pracował jako agronom. W ubiegłym roku piastował urzędy: prezesa koła Z. S. Ch. w rodzinnej wsi, wiceprezesa gminnego koła Stronnictwa Ludowego i członka gminnej komisji do sprawy współzawodnictwa pracy w rolnictwie. Poza tym działa jako agronom. Działalność społeczna — jak widzicie — z samego tylko opisu godności—bardzo szeroka. A i wpływ na chłopów musi mieć niemały.

Ten 10-cio hektarowiec uważa, że rządy nad gromadami powinni sprawować wybitniejsi, bogatsi chłopi. Bo że w jego gminie jest spółdzielnia Z. S. Ch. koło S. L.-u, czy organizacje młodzieżowe, zawdzięcza się je-

mu : „wysiłkom kilku działaczy z okolicznych wiosek". Uważa dalej, że w gospodarce rolnej działa najlepiej **osobisty** przykład. Stąd też jego naczelnym zadaniem — jako agronoma, jest unowocześnienie **własnego** gospodarstwa. A więc „budowa silosa, gnojowni, nowych chlewów, urządzenie łaźni, okólnika, lucernika oraz... odprawienie kuzyna od siebie, który był przez długie lata i stał się przyczyną niepowodzeń w gospodarstwie i zakłóceń domowych z teściową, co hamowało (jego) rozwój gospodarczy". Z innych planów wymienia zamiar uzyskania większej pożyczki w łódzkim Banku Rolnym. Tak powinni, jego zdaniem, postępować wszyscy chłopi w gminie, a całość sama się złoży.

Mylilibyście się bardzo sądząc, że ów agronom nie myśli o drobnorolnych chłopach. Ma przecież dla nich dwa motory spalinowe, młockarnię szerokomłotną, kopaczkę „i inne". Powiada, że brak mu tylko „pięciu albo trzech gospodarzy", z którymi można by „urządzić spółkę maszynową na wyższą skalę dla obsłużenia innych, a nawet wsi sąsiednich".

Zastanówmy się wspólnie, co to znaczy, jak wyglądałaby wieś, gdyby stało się tak, jak zamierza ów bogacz-agronom?

Wiecie, że maszyn rolniczych na wsi jest jeszcze mało, choć stale przybywa. Sami o tym pisaliście w ankietach. Stwierdzaliście również, że drobnorolny a nawet średniorolny chłop pozbawiony maszyn zależy od bogatego, który je ma.

Wasz kolega z gminy Radonia (Opoczyńskie) pisze, że we wsi Mariampol tylko dwóch bogaczy ma siewniki i liny i bierze „ćwiartkę" żyta od wysianego metra za wypożyczenie. W rezultacie sieją chłopi jak za Piasta-Kołodzieja — rzutowo, a młócą cepami. Cena za wypożyczenie młockarni jest nieco niższa, ale w przeludnionym Mariampolu młodych ludzi nie brak. Często — czworo — pięcioro na rodzinnym karłowatym gospodarstwie. Więc się męczą cepami przez całą zimę, bo jakże małorolny da radę zapłacić tyle od wynajęcia maszyny?

Przykład inny, również zaczerpnięty z Waszych wypowiedzi. Wieś Ostrowo leżąca w gminie opoczyńskiej liczy 100 gospodarstw, w tym 85 drobnorolnych, poniżej 5 ha. Ze względu na konkurencję ośrodka maszynowego, zorganizowanego przez Z. S. Ch. cena wypożyczenia siewnika od bogaczy jest niższa, wynosi bowiem 10—15 kg od metra, przy czym nierzadko dodaje przedsiębiorca własną obsługę.

Do drugiego przykładu jeszcze wrócę. Narazie odpowiedzmy sobie na postawione już wcześniej pytanie — jak wyglądałaby wieś, gdyby stało się tak, jak to „planuje" ów bobacz-agronom?

Mielibyśmy zapewne pięciu lub trzech bogaczy i urządzoną przez nich spółkę maszynową na wyższą skalę — z jednej strony, a z drugiej masę biedniaków i średniaków dopraszających się o pomoc w maszynach i płacących „ćwiartkę" od metra. Oglądalibyśmy zatem zwykły kapitalistyczny wyzysk człowieka przez człowieka. Nie na tym jednak koniec. W niedługim czasie wykupiliby i połknęli bogacze wiejscy drobne parcele biedniaków. I stworzyliby równocześnie mocne fundamenty dla kapitalistycznego ustroju. A w kapitalistycznym ustroju — masy biedniaków — podobnie jak wielu z Was przed wojną — musiałyby znowu pędzić tułacze życie. Bo kto nie waha się wyrzucić nawet członka rodziny z gospodarstwa, ten się też na pewno nie zawaha usunąć z parceli drobnorolnego chłopa.

Ale nie jest tak źle. Działalność „przedsiębiorców" natrafia na przeszkody, których w żaden sposób wyminąć się nie da. Wskazuje na nie i bogaty agronom. Pisze bowiem: „wieś nie chce się zgodzić, by jeden nią przewodził". Tak, to prawda. Podstawowa masa chłopska — drobno- i średniorolni przeciwstawiają się „przedsiębiorcom". I mają szansę na wygranie walki. Właśnie przykład zaczerpnięty z sytuacji ze wsi Ostrowa pokazuje, że im więcej będzie ośrodków samopomocowych, tym mniej będzie spółek bogaczy na większą skalę, tym mniejszy będzie wyzysk. Idą bez przerwy na wsie maszyny wyprodukowane przez naszą klasę robotniczą. Przy ich pomocy rozgrywacie koledzy pomyślnie walkę klasową z „przedsiębiorcami". Likwidujecie wyzysk.

Poza tym jestem przekonany, że w jesiennych wyborach z ubiegłego roku staraliście się odsunąć bogaczy od wpływów na terenie gminnych władz Związku Samopomocy Chłopskiej.

3. „NAPRAWDĘ SZCZĘŚLIWI LUDZIE?"

Z Wami — kolego z sieradzkiego — chciałbym pomówić wprost. Wiem z Waszego życiorysu, że niełatwe mieliście dotąd życie. Chcieliście przy własnym kawałku ziemi prowadzić sklepik wiejski, bo nie dało się z samej gospodarki wyżyć. Wysoka dzierżawa, duży podatek, wreszcie okradzenie zmusiły Was do tego, że nie tylko zrezygnowaliście z prowadzenia sklepiku, ale nawet porzuciliście rodzinne strony i pracujecie ostatecznie jako agronom w sieradzkim. „Specjalnym moim dążeniem i zamiłowaniem, to klecić swój własny domek, własne, choćby małe, gospodarstwo... zazdroszczę bowiem tym wszystkim, którzy posiadają kawałek ziemi i swój własny dom. To są naprawdę szczęśliwi ludzie. Trudno mi dalej o tym pisać, bo nie wiem, czy mnie kto zrozumie?" — to są wasze słowa.

Rozumiem Was, kolego — bardzo dobrze. Nieraz całe lata ciuła się pieniądze, aby kupić, czy dokupić skrawek ziemi. Jakże się z nim rozstać? Raczej znosić wszelki niedostatek, wyrzekać się zaspokajania elementarnych potrzeb, gnieść się z całą rodziną na parcelce niż się jej pozbyć. Tak, ale to też trzeba w określony sposób rozumieć. Pozwólcie, że Wam w tym dopomogę.



Układanie stogu

Z Waszej ankiety wynika, że w gminie, na której terenie pracujecie, gospodarstwa 1—3-hektarowe stanowią 50% ogółu. Jeżeli dodać 3—5-hektarowe, będzie to około 70%. Na każdej parceli, choćby obejmowała ona tylko 1 ha, a nawet mniej, stoi domek własny. Ale powiedzcie mi — jak się tam żyje, w takim domku?

Wasz kolega, pracujący na terenie gminy Duraczów (Koneckie) pisze, jak się „gospodarzy" we wsi Błotnicy, gdzie niemal wszystkie, poza pięcioma, gospodarstwa nie przekraczają 3 hektarów. W Błotnicy, jak zresztą w całej gminie, uprawia się tylko żyto i ziemniaki a gdzieniegdzie owies. Produkcji chłopi nie zbywają, ale nie dlatego, że do Końskich daleko a drogi złe. Po prostu właściciel indywidualnej parceli, gospodarz „na swoim" nie ma co sprzedać. Przeciwnie — musi nieraz dokupować artykuły żywnościowe. Ludzie z duraczowskiej gminy muszą dorabiać poza „gospodarstwem", inaczej nie mogliby wyżyć. Pracują w tartaku i warsztatach stolarskich, i w kopalni rudy przy błotnickiej gromadzie.

Myślę, że zaglądacie często do takich gospodarstw, piszecie bowiem, że propagujecie intensywnie uprawę roślin przemysłowych, racjonalną hodowlę krów i trzody chlewnej.

Tymczasem trudno nieraz sadzić drobnorolnemu buraki, skoro musi w pierwszym rzędzie mieć żyto na wyżywienie rodziny. Trudno mu wsiać rzepak czy len, skoro musi posadzić ziemniaki — podstawę wyżywienia. I co mu mówić o racjonalnej hodowli, kiedy jego gruźlicza krowa „stołuje się" na miedzy, bo małorolny nie ma przecież łąki.

Wiem, że macie dużo wiedzy rolniczej, podobnie jak wielu innych Waszych kolegów. Specjalizujecie uprawę zbóż i hodowlę, organizujecie związki branżowe, prowadzicie współzawodnictwo. Słowem—podnosicie produkcję rolną, na ile jest to możliwe w waszych warunkach. Ale przy tym wszystkim ulegacie legendzie, mitowi wolnej, chłopskiej parceli. Jest to uparta wiara w wytrzymałość chłopa na drobnym, byle tylko własnym gospodarstwie. Płaci się za taką wiarę daleko większą cenę, niż wynosi wartość parceli. Tę cenę zapłaciły już miliony naszych chłopskich emigrantów, którzy musieli odejść od ojczystych stron do obu Ameryk, za chlebem. Sprawa nie jest błaha. Przecież Wy — jako agronomowie — zachwalacie z jednej strony własny domek i małe gospodarstwo a z drugiej jesteście wobec tego „gospodarstwa" bezradni. Wierzycie w nie i nie możecie równocześnie mu pomóc, nie możecie na drobnych parcelach stosować maszyn, specjalizacji upraw, nie możecie na nich podnieść produkcji.

„Małorolni nigdy nie powiększą plonów, z bólem serca muszę patrzeć na bogatych, jak u nich pięknie rośnie" — pisze agronom z Brzezińskiego. Niejeden z Was i wielu chłopów myśli w podobny sposób. Ale nie jest tak znowu źle. Wyjście można znaleźć. Agronom z regnowskiej gminy (pow. Rawa Mazowiecka) już je nawet znalazł. Pozwólcie, że o nim opowiem.

4. „JA NATOMIAST INACZEJ ZORGANIZOWAŁBYM GOSPODARKĘ"

W swoim życiu przeszedł przez dwie twarde szkoły. W roku 1930 służył w warszawskim pułku artylerii. „W wojsku tym — pisze — służyłem tylko dwa miesiące. 1-go maja zostałem aresztowany za działalność antypaństwową i skazany wyrokiem Wojskowego Sądu Okręgowego na dwa lata ciężkiego więzienia i utratę praw obywatelskich na przeciąg 10-ciu lat. To była moja pierwsza szkoła". Drugą przeszedł w czasie wojny jako partyzant i jako działacz społeczno-polityczny w konspiracyjnym ruchu ludowym.

Jak niemal wszyscy agronomowie — stara się on podnieść, unowocześnić i zorganizować produkcję rolną na terenie powierzonej mu gminy. Zabiega o maszyny, nawozy, próbuje specjalizować uprawy. Założył związek branżowy producentów nasion oleistych. Stara się usilnie, aby właściciel jednego na całą jego rodzinną wieś siewnika nie pobierał zbyt wysokiej opłaty za wypożyczanie.

Ale nie tędy — jego zdaniem — prowadzi droga do podniesienia wydajności w rolnictwie. Czy myśli o takim dobrobycie, jaki zaplanował ów „przedsiębiorca"? Na pewno nie. Co więcej — Wasz kolega z regnowskiej gminy wcale nie uważa, że każdy, kto ma na wsi własny domek i choćby tylko małe gospodarstwo, jest szczęśliwy.

„Ja natomiast inaczej zorganizowałbym gospodarkę, bo naprawdę, aby wyjść z tego chłopskiego dziadowania i kręcenia się w kółko na swoim, trzeba aby chłopi wyzbyli się kapitalistyczno-burżuazyjnych form gospodarowania i weszli w nowy system—społecznej gospodarki".

Ostatecznie zarysowały się dwa wyjścia z „chłopskiego dziadowania". Pierwsze „zaplanował" wspomniany na początku agronom-bogacz. Jest to wyjście kapitalistyczne. Polega ono na zwiększeniu rozmiarów gospodarstw rolnych przez krzewienie kapitalizmu w rolnictwie.

Wyglądałoby to tak, że podstawowa masa chłopska, drobno- i średniorolnych ulegałaby proletaryzacji a równocześnie zwiększałyby się gospodarstwa „przedsiębiorców", którzy z czasem zajęliby miejsce dworów i folwarków. Nic by się za tym nie zmieniło. Wieś musiałaby wyglądać tak jak przed wojną.

Drugie wyjście — socjalistyczne, które zaproponował Wasz kolega z rawskiego powiatu polega na łączeniu drobnych i średnich gospodarstw rolnych w spółdzielnie produkcyjne.

Olbrzymia większość z nas odrzuca zdecydowanie pierwsze wyjście. Rozumie, że agronom gminny Z.S.Ch. musi działać w interesie drobno- i średniorolnych chłopów. Ale samo tylko przeciwstawianie się bogaczom nie wystarcza. Nie będzie dobrym agronomem ten, kto po rozegraniu bitwy klasowej z bogaczem chciałby zaofiarować chłopom własny domek i małe choćby, ale własne gospodarstwo. Bo wtedy produkcja się nie podniesie, ani ci gospodarze na swoim nie będą szczęśliwymi naprawdę ludźmi.

Tam gdzie chodzi o nasze rolnictwo, o jego pomyślną przyszłość, należy patrzeć daleko w przód, trzeba widzieć jej przyszłe formy produkcyjne, a nie z uporem odwracać się ku smutnej przeszłości.

Agronom z Rawskiego rozumie, że chłopi byli dotąd klasą społeczną, która budowała swoją gospodarkę na podstawie prywatnej własności narzędzi i środków produkcji. W rezultacie byli klasą, która wyłaniała spośród siebie i zasilała właśnie „przedsiębiorców" i różnego rodzaju wyzyskiwaczy. Od takiej przeszłości odwraca się, bo doświadczyła go ona bardzo ciężko. Ale i Wy, przedwojenni wędrowcy od zawodu do zawodu, znacie dobrze przeszłość wsi. Dlatego powinniście myśleć tak, jak Wasz kolega, były więzień polityczny i radykalny działacz ruchu ludowego. Agronom gminny Związku Samopomocy Chłopskiej nie może zakładać związków branżowych, ośrodków maszynowych, wprowadzać wspólnego używania narzędzi produkcji i wierzyć równocześnie w legendę o szczęściu drobnorolnego na indywidualnej parceli.

R E F L E K S J E

Ustaliliśmy w czasie naszej rozmowy, że Wasza wiedza z zakresu rolnictwa może służyć rozmaitym interesom i zawsze pełni funkcję klasową. Użycie jej w interesie agronoma-bogacza i wszystkich jemu podobnych — odrzuciliśmy. Postawę kolegi z Sieradzkiego zwróciliśmy ku przyszłości, nastawiliśmy na przemiany, o których mówi Wasz kolega, radykalny działacz ludowy z rawskiego powiatu.

Tego wymaga sytuacja. Nie możemy od razu w ciągu roku, czy dwóch, wprowadzić socjalistycznej gospodarki w rolnictwie. Po przedwojennych, kapitalistycznych rządach odziedziczyliśmy Polskę biedną i zacofaną, szczególnie na odcinku wiejskim. Ale możemy i musimy zgodnie z podstawowymi założeniami planu 6-letniego zbudować podstawy, fundamenty socjalizmu, możemy likwidować lub co najmniej ograniczać elementy kapitalistyczne na wsi, odcinać je od ich żywotnych źródeł. Samopomocowy ośrodek maszynowy, czy państwowa stacja maszyn rolniczych oznacza równocześnie likwidację spółek „na wyższą skalę" organizowanych przez bogaczy chłopskich, oznacza odcinanie kapitalizmu wiejskiego od jego zaplecza, jakim jest zwykły wyzysk.

W tej walce nie jesteście sami. Stoją za Wami wszyscy dotąd wyzyskiwani a więc drobno- i średniorolni chłopi. Wspiera Was Związek Samopomocy Chłopskiej i jego rozgałęziony już dobrze po gminach i gromadach aparat spółdzielczy, wspierają Was partie polityczne. Szansa na pomyślne rozegranie walki klasowej jest coraz większa. „Nasz przemysł — mówił min. Minc — nastawia się na silny wzrost produkcji środków wytwórczych, służących rolnictwu". W planie 6-letnim przewidziano dostawę 50—60 tys. traktorów dla rolnictwa. Będą one służyć drobno- i średniorolnym chłopom. „Wartość maszyn rolniczych będzie w ciągu 6 lat pięć razy większa, niż w takim samym okresie przed wojną. Zaopatrzenie w nawozy sztuczne będzie wielokrotnie wyższe niż przed wojną. W okresie 6-lecia będzie zelektryfikowanych 8—10 tys. gromad" — takie zapewnienie złożył min. Minc w imieniu klasy robotniczej.

Przy pomocy tak szeroko rozbudowanej bazy technicznej będzie można ograniczyć wydatnie znaczenie „przedsiębiorców" i osiągnąć niespotykany w krajach kapitalistycznych wzrost produkcji rolnej. Klasa robotnicza wykona swoje zadania wobec rolnictwa. Stawia mu wzamian za to takie zadanie: podnieść w ciągu 6-ciu lat produkcję rolniczą o 35—45%.

Nasz, rosnący z roku na rok i z miesiąca na miesiąc, przemysł potrzebuje i będzie stale potrzebował zagranicznych maszyn i zagranicznych surowców. Maszyny i surowce możemy otrzymać między innymi za artykuły rolniczo-spożywcze, dlatego konieczny jest wzrost produkcji rolnej.

Wciąganie drobnych i średnich gospodarstw w łożysko samopomocowych spółdzielni, kontraktowanie dostaw indywidualnie i zbiorowo, nasycanie wsi maszynami i nawozami — zakładanie pierwszych spółdzielni produkcyjnych — to najlepsza droga do podniesienia produkcji. Podniesienie produkcji rolnej oznacza — proszę Was — równocześnie pomyślne rozegranie walki o zbudowanie fundamentów socjalizmu na wsi. „Wzmocni socjalistyczną bazę w rolnictwie — majątki państwowe i spółdzielnie produkcyjne, wzmocni biednego i średniego chłopa, a ograniczy i osłabi elementy kapitalistyczne na wsi, pozbawiając je możności wywierania istotnego i poważnego wpływu na rozwój rolnictwa i kształtowanie się rynku" (min. Minc).

Dlatego Wy, koledzy, jako gminni agronomowie, angażujący się w pracę zleconą Wam przez Związek Samopomocy Chłopskiej, musicie patrzyć daleko w przód, musicie poznać teorię, której służy Wasza praktyka. Nie ma bowiem rewolucyjnej praktyki bez poznania rewolucyjnej treści. A Wy przecież jesteście działaczami rewolucji społeczno-gospodarczej naszej wsi.

Wiesław Jażdżyński



Na polach doświadczalnych w Z. S. R. R.

Jerzy Cios

rys. Karol Baraniecki

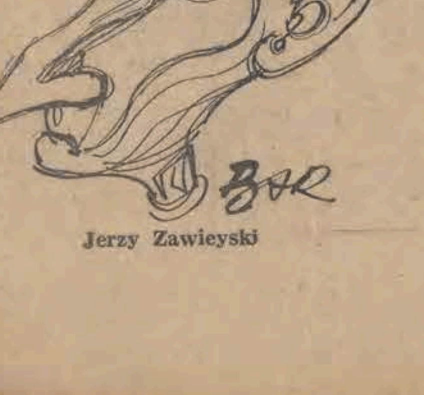
NA KONGRESIE ZZLP



Stefan Żółkiewski

Zjazdy ZZLP mają już swój ustalony rytuał. Wchodzi weń referat Żółkiewskiego, kilka wypowiedzi marksistowskich, zazwyczaj powtarzających i uzupełniających treść referatu, dwa, trzy głosy liberałów, domagających się poszanowania poszczególnych pisarzy, no i wielka tyrada o Bogu, łasce i tragizmie, którą wygłaszał nieodwołalnie sam Jerzy Zawieyski. I tym razem rytuałowi stało się zadość. Mówił Żółkiewski, o życzliwy stosunek do twórców nawoływał Wat, nową postępową literaturę katolicką zwiastował autor „Ocalenia Jakuba". Pozornie nie zmieniło się nic. Pozornie tylko. Nie tu bowiem objawiła się specyfika zjazdu. Większość spośród pisarzy stała na tych samych pozycjach tak teraz jak i przed rokiem. Ale mówiono już inaczej, domagano się czegoś innego. Zjazd ZZLP odbywał się przecież po zjednoczeniu obu partii robotniczych, w momencie kiedy to wejście na drogę do socjalizmu wymagało nowych postulatów w zakresie polityki kulturalnej, gdy przed pisarzami polskimi stanęły zasadnicze zagadnienia ideowo-artystyczne. Przez cały czas zjazdu słowo „socjalistyczny realizm" nie schodziło z ust mówców. Rozpoczęła się bowiem walka właśnie o socjalistyczny realizm, o literaturę służącą interesom proletariatu. Tu dopiero można było odczytać, mówiąc emfatycznie, bieg dziejów. Po trzech latach przemian społecznych sytuacja kulturalna podlegała także poważnej ewolucji. Żółkiewski mówił już o konieczności związku pisarzy z ruchem proletariatu, a Zawieyski nie przeprowadzał złośliwych wypadów, jak działo się to jeszcze rok temu. Wręcz przeciwnie, wspominał o możliwościach postępowej literatury katolickiej, literatury wyzwolonej z dewocjonalizmu.

Dwa wstępne referaty, min. Sokorskiego i Stefana Żółkiewskiego, sprecyzowały szereg zadań, które wypełnić winna literatura polska. W znacznej mierze uzupełniła je prowadzona później dyskusja. Spróbujmy zreferować te postulaty, które aprobowano w Szczecinie wśród pisarzy zgromadzonych tam z całej Polski. Chodzi tu o nową beletrystykę, poszukującą norm dla siebie przede wszystkim we współczesnej polskiej rzeczywistości, nie zaś w tradycji ostatnich 50 lat prozy zachodnio-europejskiej, propagującej równorzędnie obok siebie występujący estetyzm i antyestetyzm. Chodzi o wyraźne sprecyzowanie zmienionej funkcji społecznej literatury, która ma nie tylko stwarzać odbudowę socjalistyczną, lecz także brać w niej czynny udział, to znaczy wspierać swym ideologicznym i politycznym oddziaływaniem wysiłki proletariatu. Nie pominięto tu także roli krytyki, oczywiście krytyki marksistowskiej, winnej dopomóc współczesnej prozie w osiągnięciu właściwego celu. Referat Żółkiewskiego jednak był nie tylko ustaleniem zadań stojących przed twórczością polskich ludzi pióra, lecz także próbą oceny tych twórczości, próbą zaklasyfikowania obfitych zjawisk literackich. Naturalnie wyróżniono tu prócz osiągnięć pozytywnych, takich jak twórczość Lucjana Rudnickiego, Kazimierza Brandysa czy Pawła Hertza, dwa czołowe kierunki artystyczne, które transponowane z zachodniej Europy przeszkadzają bieżącej prozie w jej zbliżaniu się do socjalistycznego realizmu. Rzecz szła tu o estetyzm i antyestetyzm, o beletrystykę selekcjonującą materiał pisarski ze względu na jego „piękność" (oczywiście zdeterminowaną klasowo) czy też „brzydotę". Antyestetyzm, znany pod nazwą naturalizmu, obejmuje coś więcej jeszcze niż powieści Zoli czy nowele Maupassanta. Antyestetyzm to Sartre i Miller (paradoksalne zestawienie ale jakże słuszne!), to Faulkner i Mouloudji, to u nas Borowski i Rudnicki ze „Scedzonego wina życia". Estetyzm, drugie niebezpieczeństwo współczesnej prozy, cechował literaturę wywodzącą się z psychologizmu, związaną z Gidem i Conradem, burżuazyjną literaturę schyłku i upadku. Jego klasycznym reprezentantem przed wojną był Brunon Schulz, dziś wiąże się z nim czasem Iwaszkiewicz (w „Nowej miłości"), czasem Żukrowski („Piórkiem flaminga"), czasem Adolf Rudnicki (w opowiadaniach tomu „Szekspir"). Te dwa nurty, pozostałość niektórych tradycji dwudziestolecia, powodowały niejednokrotnie niewłaściwy wydźwięk społeczny a zarazem i polityczny wielu pisarzy, którzy tworzyli powieści o wiecznych problemach psychicznych uznając niezależność przeżyć człowieka od warunków go otaczających. Oczywiście walka z tymi prądami artystycznymi staje się sprawą konieczną i nieuniknioną. Referat podkreślał to wielokrotnie. A cóż powiedzieli dyskutanci? Hieronim Edward Michalski uzupełniał postulaty Żółkiewskiego, podawał dalsze przykłady skrzywień ideologicznych, analizował poezję młodych, podnosił sprawę realizmu socjalistycznego. Aprobował żądania wobec literatury i Stefan Flukowski i Aleksander Wat, przy czym ten ostatni szczególnie osro wzywał do walki z naturalizmem. Protest wyszedł dopiero z tych ust, z których wyjść musiał. Oczywiście wygłosił go Jerzy Zawieyski. Zaczęło się dość nieoczekiwaną apologią literatury katolickiej, która jak znakomity ten orator zapewniał, miała być nowa, postępowa i wbrew słowom Żółkiewskiego, daleka od estetyzmu czy też antyestetyzmu. Niestety żadnych przykładów podobnych dzieł Zawieyski nie wskazał. No, bo i wskazać nie mógł. Jakież bowiem dzieła mógł wyliczyć? „Sprzysiężenie" Kisielewskiego „Najeźdźców" Dobraczyńskiego czy też swe dwie psychologistyczne powieści? Przykładów nie dało się znaleźć. Toteż mówca tylko zapewniał nas z trybuny, że istnieją. Wyliczyć nie potrafił. Zresztą sprawę literatury przez cały czas sprowadzał do sposobu ukazania losu człowieka, ignorując niejako jej znaczenie polityczne, ignorując jej sposób oddziaływania, rozpatrując wszelakie zjawiska w próżni socjalnej. Niewiele pomagał tu żarliwy głos wyznawcy ani zapewnienia, że literatura rodzi się w sposób niewyjaśniony, tajemniczy, samoistny, co jako ludzie dwudziestego wieku winniśmy rzekomo zrozumieć. Jako ludzie XX wieku? Ale jacy ludzie, i czy koniecznie XX wieku? O tajemniczych narodzinach sztuki mówili już tak zwani dekadenci u schyłku XIX wieku. Mówili wcześniej niektórzy romantycy. A o tajemnicy świata zapewniali nas mistycy od wielu wieków. Toteż nie sądzę aby należało dziś naśladować ich tutaj i uznawać cudowność, nieprzeniknioną biednym ludzkim umysłem, genezy „Najeźdźców" albo też „Ręki ojca".



Jerzy Zawieyski

Protest Jerzego Zawieyskiego był protestem wprost zwyczajowym. Nie byłoby inaczej tradycyjnego zjazdu, a zresztą wielbiciel „Św. Tomasza z Akwinu" musiał oponować przeciw postulatom Żółkiewskiego, musiał zapowiadać nową literaturę katolicką, jako właściwe rozwiązanie problemu. Ale literatura katolicka mimo egzorcyzmów, chociaż odprawiają je od wielu lat osoby duchowne, nie chce się jakoś pojawić. Za każdym zaś razem gdy sięgamy po dzieło mające być jej przejawem, to sięgamy po niezmieniony dramat „Ułana i dziewczyny", czasem zagadnienie impotencji, w niektórych zaś przypadkach olbrzymią powieść o mocarnym Bolesławie Chrobrym. Jak widać dotąd zaklęcia są bezskuteczne. Czy mamy spodziewać się, że od dnia zjazdu nabiorą większej mocy? Poza tym ostatnim głosem sprzeciwu i to zresztą niezbyt ostro sformułowanego, jeśli zważyć równoczesne sugestie o możliwości porozumienia, pisarze byli zgodni. Postulaty Żółkiewskiego i Sokorskiego były bowiem wskazywaniem takich dróg, które mogły jedynie zapewnić dalszy, świetny rozwój polskiej literatury, zdążającej ku wielkiej twórczości realizmu socjalistycznego, literatury rozumiejącej swoje społeczne i polityczne zadania chwili dzisiejszej.



Włodzimierz Sokorski

Obrachunki literackie

Stanisław Piętak

E T A P

Wszystkie spowiedzi autorskie pisane na zamówienie są i żenujące, i niepotrzebne, bo pomijając już nieodłączną pozę w takich razach, tworzone są świadomie lub nieświadomie dla zatarcia właściwego śladu — dla chwały, a nie dla pognębienia siebie. No, mnie na dobrą sprawę można jednak uwolnić od wyznań, bo przecież cała moja tzw. twórczość poetycka i powieściowa aż przelewa się od autobiografizmu, od spraw osobistych. Artykuł mój, jak kto chce, może być uważany za samokrytykę, lub za dyskusję z krytykami.

Zaczynam od rzeczy najważniejszej. Krytyka postulująca bije mnie za dekadentyzm, za skomplikowanie, przeczulenie etc. Ponieważ nie są to rzeczy literackie, przejęte przeze mnie, ale niejako natura mojej twórczości, postaram się fakty wytłumaczyć. Rzecz w tym, że krytycy pytając słusznie, gdzie jest moja siła, krzepa chłopska, mylą się sądząc, że pochodzę z rodziny chłopskiej, zasiedziałej, zapóźnionej kulturalnie. Jestem synem nieżyjącego już Karola Piętaka, pisarza-amatora (fragmenty jego prozy drukował w kilku swoich numerach „Miesięcznik Ludowy" w r. 1947), który w bujnym i bogatym intelektualnie swoim życiu zakosztował właściwie wszystkich zawodów, był cieślą, murarzem, robotnikiem fabrycznym, mówcą, żołnierzem, no a już najmniej rolnikiem (tym zresztą był fatalnym). Ustrój, w którym przyszło mu żyć, kruchość jego woli poza tym, sprawiły, że nie urzeczywistnił on ani 10 proc. ze swoich wspaniałych zdolności, jakimi był z natury obdarzony.

Ojciec zresztą nie był jedynym literatem w najbliższej mojej rodzinie, był nim i najmłodszy z jego braci, Franciszek, człowiek wykształcony, poeta i nowelista nawet znany, rokujący olbrzymie nadzieje (prace jego pod pseudonimem i nazwiskiem pomieszczane były przede wszystkim w „Naprzodzie" i „Prawie Ludu" w latach 1908—1914 i zginął on bodaj na froncie już w r. 1915, licząc zaledwie 30 lat), łączył on rewolucyjne przekonania z absolutnym dekadentyzmem życia.

Te tradycje zaciążyły na mnie, niepokój ludzi, których wielbiłem, ogarnął i mnie, wziąłem od nich straceńcze idee, rozpacz inteligenta chłopskiego, zagubionego w ówczesnym ustroju, nie wziąłem przecież pasji społecznej, rewolucyjnej — no, przed tymi rzeczami ostrzegali mnie maluczcy moi bliscy, a poza tym zacofani wychowawcy w szkole, jak przed bestią apokaliptyczną.

Tak proza ojca, jak proza stryja jest opanowana, jednak nie ma w niej ustawicznej nerwowości, której tak wiele jest w moich zdaniach. Moje przeczulenie, „zapady" wynikły z kompleksu śmierci, byłem chory ciężko kilka dobrych lat w dzieciństwie, nie pracowałem fizycznie, zdany byłem na marzenie, na trującą lekturę, oczy, słuch, wszystkie zmysły pracowały w rozpaczliwej samotności zbyt długo, by nie zostawiło to piekącego śladu w moim umyśle.

* * *

Właściwie pisać zacząłem dość wcześnie — i od razu tworzyłem i prozę i wiersze. Powinienem był nawet debiutować tomem prozy, bo już jako dwudziestoletni młodzieniec ogłosiłem sporo opowiadań po czasopismach, zetknięcie się przecież z ówczesnym przodującym ruchem literackim, z tzw. awangardą, wykoleiło mnie, wytrąciło mi pióro, kazało myśleć i pisać inaczej. Odłożyłem swoje dotychczas wydrukowane rzeczy, niesłusznie lekceważąc je, do kuferka i począłem terminować u wyznawców pięknych zdań na dobre.



Stanisław Piętak

Kontakt swój z awangardą, chodzi tu przede wszystkim o twórczość Peipera i Przybosia, poczytuję mimo wszystko dla siebie za pożyteczny, otwarły mi się bowiem oczy na piękno i świeżość nowego języka poetyckiego i na piękno nowego rytmu wiersza — pobyt jednak przy kuźni „ekstremistów" był krótkotrwały, jak krótkotrwałe były w ogóle wszystkie moje przystanki przy ówczesnych -izmach, przy autentyzmie, fantazjotwórstwie, syntetyzmie i td.

Szedłem od początku, choć na oślep, swoją drogą. Peiper głosił poemat rozkwitający i piękne zdanie, Przyboś konstruktywizm i powściągliwość, a w „Alfabecie oczu", mojej pierwszej książce poetyckiej, aż burzyło się od słów uczuciowych i prozaizmów, od rozterki i wielkich niepohamowanych wylewów, — nieboszczyk Sebyła nazwał to chorobą poezji.

Krytycy pisali często o mnie, że biegnę na ślepo w swojej twórczości, że wiersze moje to jest jeden nagi krzyk bólu i rozpaczy. Istotnie trzy pierwsze moje książki: „Alfabet oczu", „Legendy dnia i nocy" i „Ziemia odpływa na zachód" są, wyłączywszy nieodzowną u młodego poety modną patynę obowiązującego stylu, spontanicznym wyrazem własnych przeżyć twórczych.

Stylizacja, robota literacka zaczęła się u mnie dopiero po „Ziemi" i trwała w ostrej formie do r. 1944. Lata stylizacji to bezpośrednie dla mnie, jako dla literata, lata dużego sukcesu, lecz jako dla twórcy — czasy, jeśli nie klęski, to w każdym razie zatrzymania się na drodze. Na tory formalizmu, stylizacji pchnęły mnie raz kontakty artystyczne — współpraca z grupą Czechowicza — więcej przecież jeszcze pchnęło środowisko, w którym żyłem, kawiarnie, cyganeria artystyczna. Wszelkie próby tworzenia dla klasy, z której wyszedłem, zawodziły, począłem więc pisać dla półświatka artystycznego, rozkoszującego się wszystkimi smaczkami tzw. nowoczesności, zostałem, jak to wtedy szumnie jeden z krytyków napisał, „chłopskim nadrealistą"

Oczywiście czystej stylizacji nigdy jednak nie uprawiałem, bo gardziłem nią w gruncie rzeczy (nieufność moja ówczesna do liryki Czechowicza i ucieczka raz po raz do epiki) Pozbawienie przecież nowatorskiej i nieobojętnej mojej prozy uziemienia, żyznych korzeni społecznych, nie wyszło jej niejednokrotnie na dobre.

* * *

Nowy rozdział mojej pracy to lata powojenne. Czyniąc różne omyłki w owym czasie, byłem przecież w pisaniu sobą od początku do końca. Na pierwszy plan wyniosła się znów wtedy liryka. Splot tragicznych dla mnie osobistych zdarzeń, chwila załamania sprawiły, że przesiąknięta ona jest jakże często rozterką, skłóceniem. Że jednak byłem dla siebie bezlitosny, że oddawałem bez fałszu, bez upiększania cały swój świat przeżyć w chwilach przełomu, uważam tedy te drobne wiersze za bodaj najważniejsze z tego, co dotąd napisałem.

Gruntownej rewizji poddałem w tych latach ostatnich całą swoją twórczość, a przede wszystkim prozę, proza moja powojenna ociera się raz po raz o pisarstwo użytkowe („Front nad Wisłą"), o reportaż i pamiętnik („Nagi grom" i „Ucieczka z miejsc ukochanych"). Napór wielkich faktów społecznych, nienawiść obecna do wszelakiej stylizacji zdziałały, że straciłem zapał, poryw do powieści-fikcji i z trudnością buduję w sobie wyobrażenie nowych swoich utworów beletrystycznych.

* * *

Pobudliwość pisarska moja była bardzo wielka, w ciągu dwudziestu lat napisałem wiele utworów, z których najważniejszymi bodaj są, z poezji — poemat „Ziemia odpływa na zachód", wiersze z tomu „Dom rodzinny" i liryki napisane i publikowane w ostatnich dwóch latach, a z prozy — cykl o „Jasiu Kunefale", lecz mimo to znowu wydaje mi się, że jak podczas pierwszego swego debiutu, stoję przed najważniejszym swoim egzaminem. Faktem jest, stanąłem w obliczu wyraźnego przełomu ideologicznego i artystycznego, będzie go znamionować odejście od osobistych spraw do twórczości obiektywnej, silnie związanej z treściami społecznymi, do realizmu.

I jeśli nawet w nowym moim marzeniu twórczym poezja moja rysuje mi się jak wielka plama, wielka niewiadoma, której już z dawną zapamiętałością nie będę może w stanie rozżarzyć, to na odwrót udział w innych rodzajach pisarskich widzę aż nadto wyraźnie i mocno.

Zainteresowania moje, wysiłki w najbliższych latach będą biec chyba głównie w kierunku prozy i twórczości dla teatru. Jako główne tematy zajmują mnie najbardziej czasy przełomowe na wsi od r. 1944, 45 oraz życie małego biesa drobnomieszczańskiego z prowincji przed wojną, w czasie wojny i po wojnie.

Do pracy nad tymi rzeczami usiądę nie wcześniej wszakże niż późną jesienią dopiero, na razie porządkuję, ocalam, kończąc je, dawne utwory, siedzę w lekturze historyczno-społecznej po uszy.

Stanisław Orzeł

ilustr. St. Cieloch

DZIECIŃSTWO

Drukujemy poniżej fragmenty z pamiętnika Stanisława Orła, obejmujące okres wczesnego dzieciństwa chłopskiego dziecka. Nie jest to w tych fragmentach wyłożone explicite, ale domyśleć się łatwo, że bohater pamiętnika pochodzi z rodziny średniackiej, czy z jej pogranicza. Wyraźny jest natomiast rodzaj pamiętnika. Nie należy on do znanej serii życiorysów z „Pamiętników chłopów”, czy z „Młodego Pokolenia Chłopów”. Życiorys ten ma wyraźne znamiona literackiej roboty. Mamy tu już do czynienia **z prozą artystyczną**, bardzo ciekawą, widać w niej bowiem, jak surowy zapis życia, jak materiał socjograficzny, w którym wszak jak w „Pamiętnikach” przede wszystkim wyraża się **poznawcze** odbicie życia, jak ów dokument staje się, **a więc może się stać**, utworem artystycznym. Próba ta zdaniem naszym, winna być obserwowana jako wyraz **kierunku**, jednego z tych, które ukazują **drogę nowego realizmu**. Autor bowiem w obrazach dzieciństwa, w tym jakby wstępie do powieści, wypełnił przeżycia i wydarzenia psychiczne dziecka **treściami historyczno-społecznymi**. Naiwność dziecka jest u niego nie zaporą do wypełnienia się wiedzą o środowisku wiejskim, przeciwnie, jest chłonną gąbką. I przy takim ujęciu dzieciństwa autor oddaje je poprawnie, jako humanistyczny **proces wrastania w społeczne treści**. W wiedzę o klasowych stosunkach na wsi.

P. Ch.

Zaraz po śniadaniu szykowałem się do szkoły. Miałem już przecież siedem lat. Byłem patykowaty, długi, piegowaty i całe moje szczęście, że nie ryży. Siostry, a nierzadko i matka, nazywały mnie w złości „kropato zjaba”, co pamiętałem im zawsze i dokuczałem, gdy tylko nadarzała się okazja. Tego dnia szedłem pierwszy raz do szkoły. Krowy wypędziła za mnie starsza siostra, Bronka: musiałem się przecież umyć porządnie i ubrać. Matka odcedziła do cebrzyka „świńskie ziemniaki”, a ja, siedząc na niskim stołeczku, trzymałem obydwiema rękami nogi wysoko w buchającej parze. Czekałem aż kąpiel nieco ostygnie.

— Stasek, bo łapy poparzys — upominała matka.

— I, poparzeta, odpowiedziałem, opuszczając nogi coraz niżej. Cały czas myślałem o szkole.

* * *

Rozległ się wreszcie dzwonek. Wszyscy rzucili się do drzwi otworzonej sali. Chłopaczyska z grubymi głosami i już w butach szurgały nogami przy wejściu do kla-



sy przed panem kierownikiem Ciarupą i nauczycielką, którzy rozmawiali o czymś przy stole. Dla nas najmłodszych miejsc w ławkach nie było — zabrakło. Nikt się tym nie turbował, a my najmniej. Zbici w ciasną gromadę staliśmy koło pieca z rozdziawionymi gębami i wybałuszonymi na wszystko oczami. W ławkach rozlegały się co chwila śmiechy i piski, wśród nas panowała cisza. Zauważyłem, że niektórzy, podobnie jak i ja, patrzą pilnie na ręce pana Ciarupy. Pan kierownik trzymał w obu rękach linię. Wyginał ją z lekka i zaglądał w oczy nauczycielce. Czekałem, kiedy rzuci się nagle między ławki i zacznie sypać tym krzykaczom łapy. Poplułem na wszelki wypadek w dłonie, bo jakby tak i nas...

Niespodziewanie pan kierownik walnął kantem linii w stół, aż nasz tłum pod piecem zafalował. Pan kierownik zauważył to i uśmiechnął się.

— Dobry materiał będziemy mieli z tych małych, linię czują od razu — powiedział do stojącej obok nauczycielki. Nie podobała mi się ta nauczycielka. Była jak piec szeroka, a zęby miała żółte i porozstawiane jak to ściernisko. Pan kierownik zaczął mówić. Mówił bardzo ładnie, a linia wyginała mu się sama w rękach. Naprawdę jak żywa. Patrzyłem tylko na nią i zdawało mi się czasem, że wyskoczy z ręki pana Ciarupy i będzie sypała.

— Chłopcy i wy dziewczęta, razem dzieci — mówił pan kierownik. — Od jutra będziecie przychodzili do szkoły, pandzieju. Tylko mi przychodzić regularnie, bo jeżeli nie, to was znajdę, pandzieju.

— A uczyć mi się bałwany musicie bo, pandzieju, skóra będzie w robocie.

— Zapamiętajcie sobie złodzieje, że jeżeli mi z ogrodu zginie, pandzieju, choćby jedno jabłko, jeden ogórek, to na pokładankę i do kozy na całą noc, pandzieju.

Aha, jest i koza, pomyślałem, tylko ani rusz nie mogłem zrozumieć, kto to był taki ten „pandziej”. To napewno ogórek jakiś duży, albo ten, co przy kozach jest. Zamyśliłem się o tym pandzieju i już nic nie słyszałem, co mówił pan Ciarupa.

* * *

W niedzielę po sumie stawałem sobie wysoko na schodach pod kościołem, aby popatrzeć, jak ojciec rozmawia ze znajomymi. Schodził po schodach wysoki, jak ta topola księdzowa, co koło ganku rosła, podkręcał wąsa, śmiał się głośno a białe, równiutkie zęby aż świeciły białością. Kobiety oglądały się za nim, a on zdejmował granatową maciejówkę i przygłaskiwał czarne, lśniące włosy. Ładny był ten mój ojciec...

Ale nie lubili go, bo o byle co łapał nawet przed kościołem takiego „sprzeciwę” za kurtkę i szast-prast po gębie. Krew się zaraz lała, ludzie krzyczeli, łagodzili i w końcu szli czasem do pana Mendla na wódkę. Jeżeli ojciec nie pojechał na jarmark, lub nie miał za co kupić kwaterki u Mendla, wtedy lepiej było uciekać z chałupy na koniec świata, do Rostowa, albo jeszcze dalej. I ja też ojca nie lubiłem. Ładny, bo ładny, ale co mi to za ojciec. Nic nigdy z jarmarku nie przywiózł, nie pozwolił się bawić w życie w chowanego, nie dał huśtawki z powroza na wierzbie zrobić i za wszystko bił.

Najstraszniej było w domu, gdy ojciec bił matkę, bo i ją bił. Wtedy robiło się w domu piekło i taki krzyk i płacz, jak na jarmarku w Słupi. Właściwie krzyczał tylko ojciec a płakaliśmy my wszyscy. Nawet malutki Jasiek w kołysce i to płakał. A ojciec matkę bił... raz bił pasem, raz miotłą, a raz, ale to było potem, bił takim kijem od poprawiania ognia w piecu. Matka nie broniła się nic a nic. Nie zasłaniała się też rękami, jak my. Siadała tylko na łóżku i płakała. Albo powtarzała jedno w kółko: — Jasiu, dzieci patrzą, Jasiu....

Todka i Józia czepiały się spódnicy matczynej i płakały tak rozdzierająco, że i ja musiałem płakać. Jeżeli w domu był Władek lub Bronka, to próbowali zasłonić matkę. Taki Władek, najstarszy w domu, to mógł. Ojciec jednak bił wtedy wszystkich. Raz Władka kopnął w nogę, to potem przez dwa dni nie mógł chodzić. I mnie też czasem oberwało się przy tym. Uciekałem wtedy do pokoju, wlazłem pod łóżko i postanawiałem sobie z całej duszy, gorąco, że niech tylko urosnę, to matki bić nie dam, a jeżeli ojciec będzie koniecznie chciał, to... nie wiedziałem jeszcze, co z nim zrobię. Zresztą on zobaczy. Mnie ojciec bijał najwięcej. Mnie a potem siostry, ale to było potem. Podobno jak byłem mały, to trzy lata nic — tylko chorowałem i chorowałem. Umierałem nawet kilka razy. Raz mi nawet swok Błędziński trumnę już zrobił, a ja nie umarłem. Nigdy nie płakałem, kiedy mnie ojciec bił. Nie to, że nie chciałem, ale nie mogłem. Zielińskiego Jasiek, to już z daleka, gdy zobaczył, że ojciec chce mu wsypać, szedł drobnymi kroczkami, płakał, choć go jeszcze nie uderzył i błagał: — Tatusiu słodki. — Jaki to może być słodki tatuś, który bije. Ja swojego ojca nazywałem po prostu „tata” i nigdy go słodkim nie wołałem... A może ojciec bił mnie za to, że byłem w domu najbrzydszy? Czasem to mi żal było, że wtedy, gdy mi trumnę robili, nie umarłem. A może i lepiej, że żyję... niech tylko urosnę...

Ale ten nasz ojciec umiał bić. Łapał mnie zawsze mocarno za rękę, a potem kładł sobie moją głowę między kolana i nawet klapy nie odpinał. Jeżeli bił pasem, to już gdzie popadło, a jak wziął za ucho, to tak skręcał, że potem zawsze zdawało mi się, że napewno wyrwał mi ucho, bo i krew ciekła.

Krowy, konie i Bukieta bił, gdy był zły, gdy wódki nie pił, a jeżeli wypił, to też mógł zbić. Co mu taki głupi koń winien, że kopał go buem w brzuch? Jak tylko to widziałem, to zawsze uciekałem za stodołę i płakałem, bo przecież koń nie umie płakać.

Bywały dni, kiedy mój, albo raczej nasz ojciec, był dobry. Wieczorami, gdy podjadł sobie dobrze, brał na kolana Todkę lub Józię, udawał, że jadą na koniu, cmokał im wio, wiśta, śpiewał krakowiaki i gwizdał. Albo leżał w kuchni na łóżku rozzuty i szczypał długimi palcami u nóg wszystkich, kto siedział najbliżej, nawet matkę. Czasem czytał z nami książkę albo uczył nas długiego, bardzo długiego wiersza o tym jak to:

Idą, idą dzieci drogą siostrzyczka i brat
i nadziwić się nie mogą, jaki piękny świat...

lub ten o panu, co pieniądze zgubił. Najlepiej lubiłem słuchać opowiadań ojca o rybach, ptakach, leśnikach albo o strasznych duchach lub czarownicach. Wtedy ojciec był dobry, a w domu było ładnie jak w kościele, a kolację jedliśmy długo i taka smaczna była.

Nasz ojciec w domu nic nigdy nie robił. Nie gotował, ani krowom, ani kurom, ani gęsiom, ani świniom jeść nie dawał. Sieczki nie rżnął, nie prał bielizny. Miał swego konia ale i to musiał o nim Władek pamiętać. Ojciec pracował tylko w polu, a wszędzie rozkazywał.

* * *

A więc pod oknem siedziała ta druga klasa a my, pierwsza—pod ścianą bez okien, bliżej pieca. Było nam ciemno, ale za to naprzeciw nas były drzwi, którymi szło się do kancelarii, a dalej do kuchni pana kierownika. Te drzwi to były dobre i złe. Czasem gdy były trochę otwarte pachniało w nich kapustą smażoną, przypalonym mięsem... Raz pachniały przysmażane ziemniaki, które ja bardzo lubiłem, a czasem to buchało takimi słodkościami, że zapominałem o pisaniu i tylko wciągałem to pachnienie i kurtkę rozpinałem nawet, aby się do mnie przyczepiało. Chciałem do domu zanieść. Matka i Bronka tłumaczyły mi, że to napewno pani kierownikowa takie słodkie placki piecze, a to co pachnie, to „wangielijo” — taki proszek od Mendla. Obiecałem sobie, że gdy będę miał dużo pieniędzy, to kupię sobie tego „wangielijo” całą torbę i zjem.

Kiedy te zapachy tak szły z kuchni przez otwarte drzwi, to i pan kierownik nie mógł wytrzymać. Przestawał zaraz piłować paznokcie, pociągał głośno nosem, a ta duża kość pod brodą, którą ojciec mój nazywał tak śmiesznie „grzdyka”, zaczynała mu mykać z góry na dół. Gdyby zapomniał, to mógłby ją wypluć, bo mu napewno do ust wpadała. Ale on nie zapomniał. Jeżeli wtedy czytaliśmy takie mamemimomumy, to zaraz pisał na tablicy cały wiersz, kazał nam przepisywać, a sam zmiatał do kuchni.

* * *

U nas wiedzieliśmy już od małego, czym kto będzie. Gdy się tylko urodził brat jaki, to zaraz ojciec mówił, kim będzie. I koniec... bo ojciec, to był ojciec. Co kazał, to musiało być. Siostry się w ogóle nie liczyły, bo „dzieucha” może być tylko „babą”, to znaczy „ożenić” się z chłopem.

Na Bolka powiedział ojciec, że musi być księdzem. Ksiądz ma zawsze, co jeść, to i ojcom będzie lepiej. I będzie się modlił zawsze za całą rodzinę. Ojciec na pewno myślał tylko o sobie, bo się modlić nie lubił. Zazdrościłem Bolkowi, bo mu zawsze posyłał to masła, to serek, to cukier. Księdzem to i ja chciałbym być. Nic sobie taki „ojciec duchowny” nie robi, po „ochwiarze” chodzi i wszyscy go w rękę całują. I mądry jest. Wszystko wie, bo mu muszą mówić na spowiedzi. — Co ukradłem, kogo oszukałem? Ksiądz powinien być komendantem policji— wszystkich złodziei wyłapałby, bo spowiadać się każdy musi, a to zrobi z ambony takie piekło, że potem wstyd i wszyscy o tym wiedzą. Za Bolkiem szła Bronka — „dzieucha”, więc jej ojciec na nic nie przeznaczał. Musiała w domu pracować. Pomagała matce obiad gotować, świniom dawać jeść. W polu już wszystko umiała zrobić. Biła mnie i przezywała najwięcej. Ze złości tylko, bo kobiety muszą się na kogoś złościć i kłócić z każdyma przezywać. Czwarty byłem ja, Gienki i małego Stacha nie liczyłem. Mogli nie umierać, byliby za mnie krowy paśli i buty czyścili. Ja miałem być nauczycielem i to takim samym jak Ciarupa. Tak postanowił ojciec. Początkowo to mi się nawet podobało. Będę sobie chodził po klasie i — łup linią po łapie, buch książką po głowie lub wykręcę za ucho, postawię na kolanach. Tak myślałem, ale jak zobaczyłem Ciarupę, to więcej nie chcę. Ciarupy nikt nie lubi i teraz wszyscy przezywają go „pandziej u licha”. Gdy zostałbym nauczycielem napewno wyrosłaby mi taka „grzdyka” jak u Ciarupy i nos miałbym siwy, a ja przecież i tak jestem brzydki. Walków Józek powiedział mi w tajemnicy, że jak tylko Ciarupa będzie szedł koło ich domu, to mu łeb kamieniem rozwali i już. Nie będę nauczycielem na złość ojcu, niech tylko urosnę. Pójdę na biskupa i Bolek musi mnie słuchać i ojciec i wszys-



cy w domu, bo ksiądz to tylko chrzci, a biskup... biskup, to nie wiem jeszcze, co robi, ale na pewno coś ważnego... Słyszałem przecież, jak raz ksiądz Ściskała krzyczał z ambony, że powie biskupowi, jakich ma u siebie grzeszników.

* * *

Najlepsze jedzenie w domu, to były kluski z mlekiem albo ze skwarkami, a jeszcze lepsze z twarogiem polewane śmietaną. Tylko, że kluski bywały zawsze w niedzielę, a na codzień rzadko. Rano jadaliśmy barszcz z ziemniakami, w obiad kaszę i taką zupę z ziemniaków, albo kaszę z mlekiem i kaszę ze skwarkami. Wieczorem znowu barszcz. Kawa też była z chlebem, ale bardzo rzadko, bo cukier był drogi... a herbata tylko wtedy, gdy kto był chory. Ja raz naumyślnie zachorowałem i chciałem herbaty, ale o mało nie dostałem w skórę. Ojciec powiedział, że jak kogo głowa boli, to musi leżeć cicho i nic nie jeść. Nie ma głupich, zaraz mnie głowa przestała boleć i wstałem, bo matka ziemniaki przysmażała. A Todka też nie była chora i głowa ją nie bolała, a herbaty jej dali, jak tylko zaczęła płakać.

To dlatego, że ja mam już takie szczęście. Jak tylko co chcę, to ojciec zaraz: — Stul pysk, bo jak ci wleje, to zobocys.

Jadaliśmy zawsze w kuchni. W pokoju stały trzy łóżka i stół z pasyjką i tam się spało. A w kuchni był też stół, łóżko i ława. Na stole jadał tylko sam ojciec, z oddzielnej miski. My z matką jadaliśmy na ławie i też z jednej miski. Jeżeli jedliśmy barszcz, to na środku ławy stała „donica” z ziemniakami, a po bokach dwie miski z barszczem. Na stołku siedziała matka lub Władek z Bronką, bo matka musiała dolewać i nie miała czasu siedzieć. My reszta musieliśmy stać po obu stronach ławy. Takie jedzenie to była cała wojna. Brało się łyżkę ziemniaków, potem do tego trochę barszczu i chap — jadło się. Trzeba było uważać, aby się nie pochlapać, bo za to też można było oberwać od matki. Najlepiej było siedzieć na stołku, bo co chlapnęło, to na ziemię. Ale lepiej jednak było stać, bo oszukiwały. Tak, oszukiwał każdy. Jak tylko nie pilnowało się ziemniaków przed sobą a pokazał się skwarek, to zaraz kto mógł, capnął łyżką. Gdy się stało, to lepiej było widać, chociaż i tak mógł ktoś ukraść takiego pachnącego skwarka ze słoniny. Jak tak każdy brał ziemniaki sprzed siebie, to wytworzyły się przegrody i trzeba było pilnować, aby nie przewalić przegrody na tamtą stronę, bo skwarki przepadały. Nie wolno było przed kimś gmerać. Dlatego nie lubiłem małej Todki, bo się tego prawa nie słuchała. Jej było wszystko wolno, bo jeszcze mała. Smarkula jeść nie chciała, tylko kopała za „zyskami” — tak się te skwarki dla małych nazywały. Latem to dobrze było raniutko wypędzić krowy na łąkę. Wtedy matka albo Bronka przynosiły ziemniaki w dwojaczkach. W zimie trzeba było pilnować swojej przegrody w donicy. Łyżkę



to już każdy miał swoją. Cudzą nie wolno było jeść, bo się zaraz „zojady” robiły. Ja naznaczyłem swoją koleczkiem i nikt mi jej nigdy nie brał. Kaszy to nikt z nas nie lubił, bo to nie jedzenie. Mięso jedliśmy tylko wtedy, gdy się wieprzaka zabiło, albo gdy kura zachorowała lub zaczynała piać. Matka brała wówczas kurę i przemierzała nią izbę od okna do drzwi. Jeżeli na progu wypadł łeb, to jedliśmy mięso, a jeżeli ogon, to kura była uratowana. Potem to już zawsze Władek „przemierzał”. Jemu to musiał łeb na progu wypaść. Mówiło się w domu, że biedy nie ma, ale ja byłem zawsze głodny. Dorabiałem zwykle chlebem. Brało się kromkę przez cały bochen i, jeżeli nikt nie widział, sacharyny z szafy. To było bardzo dobre i słodkie jedzenie. Mleka można było zawsze wypić, gdy się krowy pocieliły. Sera i masła nie jedliśmy, chyba troszeczkę, cieniutko na chleb, bo reszta dla księdza, to jest niby dla Bolka. Bolek, gdy przyjeżdżał, to też jadał oddzielnie, na tym samym stole, co i ojciec. W lecie było daleko lepiej. Człowiek narwał jabłek, strąków grochu na polu, marchwi — jedzenia ile się chce. W domu tylko mlekiem popić i starczało. Gęsi to nigdy nie jedliśmy. Matka sprzedawała i kupowała chustki, spódnice i trzewiki „dzieuchom”. Nam chłopakom kupował wszystko ojciec. Matka kupiła mi tylko czapkę.

Było to w trzy dni po „dojeniu kozy”. Na kolację był barszcz z ziemniakami. Matka wysmażyła słoniny malutko i skwarków było „kaj-niekaj”. Kiedy matka mieszała okraszone ziemniaki, mówiłem prędko pacierz — całe Zdrowaś i Wierzę. Prosiłem Boga, aby przede mną wypadło najwięcej skwarków. Gdy już zaczęliśmy jeść, moje miejsce zajęła Todka. Musiałem go jej ustąpić, bo ojciec sięgał po pas. Polewanica jedna. To ja dla niej zmówiłem taki długachny pacierz. Od razu wiedziałem, że mi Pan Bóg na tamto miejsce skwarki popodsuwał. A na tym nowym to nic już znaleźć nie mogłem. Nic mi ziemniaki nie smakowały. Aż mi się w oczach kręciło ze złości. Dojadaliśmy już ziemniaków, gdy zaczerniło się coś dużego. Niosłem akurat pełną łyżkę do ust a skwarek tam w moim dołku siedzi w donicy. Bronka też szczęścia dzisiaj nie miała, bo też przewaliła przegrodę z ziemniaków na swoję stronę i skwarek znikł. Machnąłem ją tą pełną łyżką przez głowę. Złodziejka jedna. Ona mi zaraz oddała swoją łyżką. Matka uderzyła mnie po ręce. Zaczął się krzyk i płacz. Skończyło się na tym, że ucho bolało mnie potem przed dwa dni.

*

W domu mówiliśmy zawsze po naszemu, to jest po chłopsku. Po pańsku, czyli „po ślachcicku”, jak mówiła ciotka Zejno, mówił w całej wsi tylko pan Ciarupa z panią nauczycielką, trzej policjanci i ks. Ściskała. Chociaż ksiądz to chyba nie, bo sam słyszałem jak z ambony krzyczał po chłopsku: Głupieśta, wy moje grześniki. Głupieśta jak te barany. — a barany to przecież nie pańskie słowo, tak samo kuń czy cielok. Po pańsku to nawet było wstyd mówić. Niech tylko ktoś we wsi powiedział jedno słowo inaczej, to już wszyscy wiedzieli i śmiech był z niego. I tak kowal Głowacki nie nazywał się Głowacki a Psionkrew, bo nie chciał mówić po chłopsku; psiokrew tylko: psionkrew. Mój ojciec chodził często do Ciarupy albo do policjantów, bo chciał się wyuczyć ładnie mówić. Syn przecież będzie księdzem, to wstyd człowiekowi

będzie mówić po chłopsku — tłumaczył się. Czasem i w domu próbował ze mną rozmawiać. Ja to myślałem, że mówi bardzo ładnie, ale matka, Władek i Bronka śmiali się strasznie z niego.

*

Najgorzej to było z tym „przez". Każdy dobrze rozumiał, gdy się powiedziało, że „sed bez lasc bosco". Albo — „bez co przysedeś dzisioj przez ołówka". Ciarupa jednak nie rozumiał i zaraz wrzeszczał: — Ośle, bałwanie, pandzieju.— Lubiłem dlatego księdza Ściskałę, bo on jak kto nie powiedział, to było dobrze, byle w rękę ojca duchownego pocałował a na „ochwiarę" Panu Bogu dawał to i owo. Nieraz to sobie myślałem, po jakiemu też mówił Pan Bóg. Wiadomo, że po pańsku, bo przecież jest Modlitwa Pańska, chociaż i tę modlitwę mówimy w domu po swojemu... chleba nasego powsedniego dej nom dzisioj...

Tylko czy Pan Bóg zrozumie, jak się tak mówi, bo w książeczce do nabożeństwa i w katechiźmie stało inaczej. Ojciec powiedział mi, że do Pana Boga można mówić, jak się komu podoba — on i tak zrozumie. Dobrze, a jak kto mówi po rosyjku albo po niemiecku — to napewno nie zrozumie. Albo jak są tacy czarni ludzie, o których opowiadał nam stary Jezuin, który w Prusach był i w Ameryce. Jak taki czarny zacznię się modlić, to po darmo chyba, bo jakby go Pan Bóg nie zrozumiał, to co mu może dać za to?

— A Pan Jezus, to sobie z Matką Boską rozmawiają po żydowsku — opowiadał mi Stach Cybuch. Matka Boska to przecież była Żydówką, a ja myślałem, że to była nasza polską Matka Boska, bo w kościele zawsze śpiewają: Orędowniczko Nasza, pośredniczko nasza, Ucieczko nasza... Chyba ten Cybuch cygani. I Stach Kubicki mówił, że to nieprawda. Mówił, że Pan Jezus na pewno wybrałby sobie inną Matkę Boską — nie Żydówkę. Jemu jego babka mówiła, że Matka Boska to była Polką — tylko Kubicki czytać nie umie chociaż już dwa roki do szkoły chodzi; jest głupi, to mu nie wierzę.

*

W naszej klasie było też i dwoje Żydków: Ryfka Mendlowa i Ślamów Mosiek, który miał zostać rabinem, ale to nieprawda. Ciarupa sam mówił na lekcji, że Mosiek zotanie cycesem. Tego Mośka to ochrzciliśmy, ale to dopiero było w lecie. Mosiek siedział razem z Ryfką i mówili oni jeszcze inaczej niż my. — Co robi twój ojciec — pytał Ciarupa Mośka.

— Moje tate dziszioj nic nie robi, un miszli, odpowiadał Mosiek.

— O czym on myśli? — Un miszli z mame, bo sze nas Icek chce ożenicz. — Kiedy uczyliśmy się o koniu, Ciurapa spytał Mośka, co to jest siano.

— Szano, to jest tako słoma, co sze najlepiej szpi na niej, co kuń zje i co rosznie na dzikie pole. — Żal mi było Mośka, bo każdy się z niego śmiał, a on każdego się bał. Chciałem nawet z nim siedzieć, ale chłopcy powiedzieli mi, że pójdę za to do piekła, więc nie chciałem potem.

*

W naszej wsi a nawet w całej parafii były cztery najważniejsze osoby. Pierwszym był Mendel Goldberg, bo wódkę miał, machorkę i pożyczał pieniądze, jeżeli komuś bardzo były potrzebne. Każdy kłaniał się panu Mendlowi i mówił: — Dzień dobry, Mendlu. Jak się mocie.

A Mendel gładził długą brodę i odpowiadał cicho, pod nosem co sam chciał. Kto tam wiedział, co mówił, — może klął na chłopa, że na wódkę nie wstępuje.

Mendla co prawda nikt nie lubił, bo był niechrzczony złodziej, ale on się za to nie gniewał. Drugą osobą był pan Ciarupa, bo jakby chciał, toby nikogo we wsi niczego nie nauczył i byłyby tylko same osły i barany tak jak w pierwszej klasie. Ale on tego nie chciał.

Trzecią osobą był ks. Ściskała a czwartą pan komendant policji. Był ostatni, bo chociaż komendant i policjant a nikt się go nie bał. Taki komendant a złodzieja nie mógł nigdy złapać. Bzymkowi pierzyny pokradli, Kulikowi gęsi i kury, Fałkowi krowę i — nic. Złodzieja nie było, bo pan komendant i wszyscy policjanci nie mogli go złapać. Komendantowi nikt się nie kłaniał, bo i za co? Najważniejszy jednak ze wszystkich był ks. Ściskała. To nic, że był na trzecim miejscu, on i tak był zawsze „najpierwszy" i każdy go słuchać musiał. Każdy musiał zdjąć przed nim czapkę, w rękę pocałować, a ładnym głosem mówić. Każdy — czy to stary, czy młody. Bez Mendla można się było obejść — wódki nie pić, bez Ciarupy też — można było baranem zostać, bez komendanta także, bo przecież nie każdy był złodziejem, ale bez ks. Ściskały ani rusz. Urodził się kto, umarł, zachorował — do księdza przyjść musiał. Jeden się wyspowiadać, drugi na mszę dać, trzeci o ślub prosić. A ks. Ściskała jak ten król chodził se po swojej plebanii i pacierze odmawiał. Wysoki był jak mój ojciec, tylko brzuch miał wielki jakby mu kto ze ćwierć ziemniaków do niego nasypał. Kiedy rozmawiał z kimś, ręce na brzuch zakładał. Jak baby całowały w te ręce, to wyglądało, że go w brzuch całują. Sam ks. Ściskała krzyczał nieraz: — Cóż mi ty babo brzuch ślinisz?

A nos miał śmieszny. Duży, spuchnięty na końcu jak ziemniak. Kiedy go w kościele wycierał, to trąbiło coś w nim, że słychać było aż na chórze. Czasem ten nos był jak nos, a czasem czerwienił się jak burak, albo znów był siwy jak to niebo nad głową świętego, który wisiał w zakrystii.

Wszyscy bali się ks. Ściskały okrutnie. Dobry był, bardzo dobry; ale jak zaczął krzyczeć z ambony, to lepiej było urodzić się w innej parafii. Nawet Mendel bał się księdza. Stary Hamera, którego ks. Ściskała zawsze po ramieniu klepał i nazywał „mój świntuchu", opowiadał, że sam widział na swoje oczy, jak Mendel pocałował księdza w rękę, gąsior wódki przyniósł i z płaczem prosił, aby więcej ludzi od wódki nie odmawiał. Ale ksiądz wódkę wziął, a w następną niedzielę jak nie zacznie krzyczeć z ambony: — A wy pijusy, a zaprzańce, to taką śmierdzącą wódę żłopiecie u Mendla? Kosztowałem ją, krwią pachniała, pogany, krwią z chrześcijanina wytoczoną.

Mendel drugi raz do księdza nie poszedł, ale ani słowa o nim nie powiedział. Bał się na pewno, bo ksiądz Ściskała był mocny i bić umiał. Raz, kiedy Siwy Jantek spowiadał się za długo, ks. rozgniewał się o coś na niego, wychylił się z konfesjonału i grzmotnął go przez łeb a krzyczeć zaczął: — Bij się w piersi złodzieju, bij się w piersi. — Nieraz też przed małym ołtarzem leżał ktoś krzyżem ku wstydowi swojemu, bo każdy głupi wiedział, że musiał to być już wielki „grześnik".

*

Ks. Ściskała jak każdy ksiądz na świecie nie miał co robić i dlatego byłem nieraz zły na ojca, że to nie mnie a Bolka na księdza przeznaczył. Wyspowiadał co dzień parę bab, napił się kielich wina w czasie mszy, modlitwę jaką zmówił i już po robocie. Chodził sobie w lecie po sadzie, gruszki i jabłka zbierał i rozmawiał z psem Czekajem, który się za nim włóczył nie wiadomo po co, bo przecież do księżego sadu nikt na jabłka nie chodził; poświęcone były, żeby od nich powylatywać mogły. Odkąd zacząłem chodzić na naukę przygotowawczą do pierwszej spowiedzi, przyglądałem się pilnie jak się to spowiada. Siedzę sobie raz na chórze koło organów. Ułożyłem na poręczy grube śpiewniki pana Marka, żeby mnie widać nie było i patrzę przez te księgi na konfesjonał. Ksiądz Ściskała siedzi sobie w białej „kumzy", głowę przechylił i słucha, bo mu właśnie Gromcowo spod górki coś szeptali do ucha. Nie dosłyszał czegoś ks. Ściskała i zaraz:

— Głośni, czego się boisz. Grzeszyć potrafisz, a mówić nie? — i znowu słucha a głową jakoś kręci. Zmarszczył się: To chyba Gromcowo mówią, że coś ukradli.

— Ile razy; krzyknął znowu ksiądz? Gromcowo coś powiedzieli ale chyba nieprawdę, bo ksiądz znowu: — Co, tylko dwa razy? — Będzie leżenie krzyżem, pomyślałem sobie, a ksiądz z kolei zaczął szeptać coś przez okienko.

Krzyczał na pewno na nią po cichu, bo palcem jej groził przed nosem i w końcu ze złością krzyknął: — Bij się w piersi. — Gromcowo upadli na kolana, głową aż do posadzki i szeroko, całą pięścią walili się w piersi. Przed konfesjonałem cała jeszcze kupa czekała swojej kolejki.

— Usuńta się, krzyknął nagle ksiądz Ściskała, usuńta się.

Zacharkał i plunął na środek kościoła, ale źle celował, bo nie trafił w ten gruby filar. I znowu spowiada. Nagle jakby mu anioł coś powiedział do ucha. Zerknął na chór i już stoi.

— He, ty urwipołciu, co ty tam robisz? Złaź mi tu zaraz! Złaź mi tu, bo cię ogniem piekielnym zaleje, krzyczał.

Przykucnąłem od razu i patrzę przez szparę a ksiądz wali prosto na chór.

No, koniec ze mną, pomyślałem sobie. Jeżeli złapie, zamknie w zakrystii na cały dzień, bicia się już nie liczy.

*

Byłem już w trzecim oddziale, kiedy zrozumiałem, że w naszym domu było dwoje ludzi za dużo: ja i moja matka. Najpierw ja, bo byłem słaby i do żadnej roboty się nie nadawałem, byłem brzydki, chudy i kropaty. Wszystko było u mnie nie tak jak trzeba. Ręce i nogi za cienkie, głowa za duża, zęby pokrzywione. Słowem — „odmieniec". Im większy rosłem, tym stawałem się brzydszy i zawadzałem wszystkim. Potem matka. Ale matka przeszkadzała tylko ojcu, a ja wszystkim.

Nikt nie znał na pewno mojej matki? Pewnie, że nie. Siedziała przecież całe dnie, miesiące i lata w domu. Nigdzie nie wychodziła: ani do sąsiadów, ani do krewnych. Raz na tydzień ubierała się w wełniany sorc, w czarną chustkę na głowę i szła szybko do kościoła na mszę a potem znów szybko wracała do domu — obiad gotować. Na sumę nie wolno jej było chodzić, bo za długo się ciągnęła. Zresztą matce musiała wystarczyć ranna msza. Na sumę chodzili tylko prawdziwi gospodarze i zamożne gospodynie, które miały w domu służące albo dorosłe córki. Oprócz tego w naszym domu zawsze ktoś był mały. Zaledwie jeden podrósł, już następny zajmował jego miejsce w kołysce.

Malutka była ta moja mama. Ja, choć dopiero jedenasty rok miałem, a byłem już prawie tak samo duży. Mała, z czarnymi włosami i siwymi oczami sama nie wiedziała dokładnie, ile miała lat i nikt tego nie wiedział. Mogła mieć trzydzieści pięć albo dwadzieścia pięć i ja nie wiedziałem. Zawsze była jednakowa. I za dwadzieścia lat była taka sama. Nigdy nie chorowała, chyba, że bociek przyniósł do domu nową siostrę lub brata, to leżała jeden dzień w łóżku, więcej ze zmartwienia, że ojciec się złościł o to przynoszenie dzieci niż z choroby. Albo czasem kładła się na pół dnia, bo ją głowa bolała. Czy ładna była, tego nie wiedziałem, bo nigdy się nie ubierała w takie suknie jak pani Ciarupowa. Nikt nie widział nigdy mojej matki, ale każdy mógłby ją poznać nawet na jarmarku lub na odpuście, gdzie tak dużo ludzi bywa. Miała pod lewym okiem na policzku taką podkowę białą, jakby kto sierpem ciął. To była kiedyś rana, ale zagoiła się i został ślad. Matka mówiła kiedyś Zielińskiej, że szła po drzewo i rozcięła sobie na polanie, ale to była nieprawda. My w domu wiedzieliśmy, że to ojciec tak zbił raz matkę.

Stanisław Orzeł

Jan Jelonek

„GRYPSIARZE" TO TEŻ PISARZE

Głos Czytelnika

W Nr 3 („Wieś" z dnia 6.I br.), jest umieszczony inserat omawiający przygotowywaną do druku książkę pt. „Wieś, jaka przemija". Z umieszczonego tam spisu rozdziałów można sobie wyrobić bardzo jasno pogląd na treść tego przyszłościowego podręcznika.

Z mojego punktu widzenia, gdy odczuwam brak skrystalizowanego poglądu na istotę przemian, taka książka staje się co najmniej pożądanym podręcznikiem.

Między okresem sprzed 1 września 1939 roku a okresem obecnym zaistniała jak gdyby bardzo gruba i wysoka ściana, która spowodowała, że w jej cieniu nie możemy niejednokrotnie odnaleźć siebie, zagubionych w rzekomo słonecznych czasach przedwojennych. Poza tym, przeżywając okres okupacyjny, minęliśmy jak gdyby most między prawym i lewym brzegiem naszego życia. Most pełen długoletniej biernoty, tragizmu i hekatomby bólu. Nagłe z niego zejście spowodowało dla niejednego przykre kolizje duchowe, które stały się niejednokrotnie powodem zapędzenia w ślepą uliczkę. Po prostu brakło nam przewodnika, który by po przejściu tego mostu objaśniał nam istotę przemian i ich końcowy cel.

Odnoszę wrażenie, że takim właśnie przewodnikiem i zarazem nauczycielem stanie się to najmłodsze, jeszcze nie narodzone dziecko „Wsi". Chodzi tylko o to, żeby jak najprędzej znalazł się wydawca, który by zechciał to dziecko usynowić. Poza tym, jeśli ono ma spełnić swoję rolę wśród najszerszych warstw postępowych chłopów, winno w swej materialnej postaci być dostępne dla wszystkich, a szczególnie i dla tych biedniaków, spośród których najwięcej bywa dobrych przodowników wsi.

Byłoby może wskazanym, aby Redakcja „Wsi" zechciała spełnić rolę akuszerki dla swego dziecka i obliczywszy w przybliżeniu koszty wydawnictwa, ogłosiła jego sprzedaż na warunkach prenumeraty. Sposób ten dawałby wydawcy gwarancję rozprowadzenia określonej — opłacalnie ilości egzemplarzy, a czytelnikowi możność zakupu wartościowej książki na dogodnych warunkach.

Czytamy w prasie, że kultura winna być udziałem całego społeczeństwa. W tym znaczeniu wszyscy, którzy mają pewien „pociąg" do pióra, winni brać udział w jej upowszechnianiu i budowaniu. Nie mówię tutaj o innych działach kultury, na których się nie znam.

Niestety nie wszyscy mają, jak dotychczas, jednaką możność startu. Jedni, mieszkający w miastach czy ośrodkach o promieniującej kulturze, są bliżej ołtarza. Mając przy tym przeważnie wyższy poziom naukowy, łatwiej dają sobie radę z przyswajaniem nowych prawd i nowych zdobyczy. Inni zaś, mieszkańcy na mniej czy bardziej odległych wioskach, zdani na samodzielne wyrabianie sobie sądu o sprawach dorywczo wyczytanych, w tej czy innej gazecie, nie mogą nadążyć w tym wyścigu o powszechność kultury. Tym bardziej, że są to wszystko ćwierć czy półinteligenci, to i nie wszystko im jest w każdej chwili zrozumiałe. Poza tym, mieszkaniec wsi, zaorany od świtu do nocy w pracy gospodarczo-zawodowej, czy najemno-zarobkowej, w ciągłej trosce o byt swojej rodziny, nie zawsze dysponuje dostateczną ilością czasu, potrzebnego do przestudiowania zmian, jakie wokół niego zachodzą.

A jednak, gdy czasem poczuje coś na wątrobie, lub gdy go nadejdzie taka ochota do pisania, bierze pióro i próbuje gładkości papieru. Po napisaniu przesyła swój utwór do redakcji, aby ją uszczęśliwić swoją „pracą", w tej wielkiej nadziei, że w ogromnym tłumie budowniczych kultury powszechnej i dla niego znajdzie się miejsce. Nic to, że ma tylko szkołę powszechną, a czasem i tego nie ma, albo jest zwykłym samoukiem — ma myśl, którą przyoblekł w kształty liter i przez podzielenie się z szerokim otoczeniem pragnie uzyskać ocenę jej słuszności. Pragnie w ten sposób niejako **wybadać stopień swej dojrzałości kulturalnej i politycznej czy fachowej.**

Dobrze jest, gdy redakcja umieści taki artykuł, bo tym samym niejako upoważnia go do dalszego pisania. Jeszcze lepiej gdy ta sama redakcja zaopatrzy taki artykuł w swoje zdanie odnośnie omawianej sprawy. Gorzej, gdy ta sama redakcja zasypana stosem rękopisów, wybiera z nich, co jej zdaniem jest najlepsze, a resztę wrzuca do kosza, nie dając autorom żadnej odpowiedzi. W tym wypadku autor nieszczęsny pełen jest **najpierw oczekiwania a następnie rozgoryczenia, że został zlekceważony.** Lekceważenie gorzej boli od najostrzejszej krytyki. Takie postępowanie niektórych redakcji jest najzwyklejszym **utrącaniem wiejskich korespondentów i debiutantów.** Powiedzmy, że pisze bzdury lub wodę, to trzeba mu to powiedzieć, aby się nie zniechęcał i dalej pracował. Nawet wśród stosu płytkich myśli może czasem **trafić się perła, a autor tego nie zauważy,** gdy mu życzliwy choć surowy krytyk nie powie.

Największym jednak nieszczęściem dla takiego autora spod wiejskiej strzechy jest, gdy podpadnie pod pióro krytyka, który nie licząc się z mentalnością pisarza, nie bierze pod uwagę jego myśli i zapatrywań, ale czepia się jego osoby i rozstawia mu familię po kątach.

Tak to wygląda, jak gdyby taki krytyk tylko oczekiwał na próbę wejścia profana kultury do zamkniętego „klanu twórców kultury", aby już w progu krzykiem go odpędzić. Nie wnika taki krytyk w sedno sprawy, nie stara się rozróżnić stopnia startu między zawodowym i wykształconym literatem, a dorywczym z „Bożej łaski" grypsiarzem. Nie oceniając jego błędów zawartych w wypowiadanej myśli lub też obok tego, krytykuje i samego autora.

A przecież wiadomym jest (może nie każdemu), że człowiek nie rodzi się doskonałym, ale poprzez współżycie z odpowiednim środowiskiem może się doskonalić i cyzelować do pożądanej formy.

W tym wypadku naprawdę z radością przyjmujemy wypowiedź L. Sobierajskiego w tymże numerze „Wsi" w art. „Potwierdzenie naszego stanowiska", gdzie w zakończeniu autor pisze: „Autorzy szybciej to osiągną, gdy w krytykach przestaną widzieć swych antagonistów, a dojrzą sprzymierzeńców".

Sprawa ta łączy się zresztą z oświadczeniem M. Czuły, w tymże numerze „Wsi", który w art. „Minione pisarstwo chłopskie" pisze między innymi: — „Zdaję sobie sprawę, że każdy teraźniejszy pisarz „chcąc z żywymi naprzód iść", musi zejść z utartych szlaków dotychczasowej twórczości i nie przekreślając, ani się wstydząc tego, co stworzył w innej epoce, czy ustroju państwowym, powinien rozwijać się dalej do nowego ustroju".

Mam niezłomną nadzieję, że właśnie **„Wieś jaka przemija"**, po swoim ukazaniu się na półkach księgarskich, przyspieszy proces przekształcania się całej plejady „grypsiarzy", będących w awangardzie powszechnej kultury w nowym ustroju.

Mam też wrażenie, że przyjdzie taka chwila, gdy nie będę musiał w poważnym piśmie literacko-naukowym widzieć tego rodzaju niepoczytalnych wyrażeń, na jakie pozwolił sobie w tymże numerze „Wsi" F. Starzec w art. „Sztamowcy mówią". Pisze on między innymi pod moim adresem: — „Nie urodziłem się działaczem jak i Wy nim się nie urodziliście. Gdybyście się wychowali u dzikich Indian na pewno dzisiaj nie pisywalibyście artykułów, a skakali przy ognisku, ogryzając kości. Nie mówilibyście też po polsku, **a gdyby wychowała Was małpa, wydawalibyście tylko pomruki".** Coś mi się widzi, że autor tego, poza ukończeniem liceum, przeszedł również wyższe studia w „Smorgoni", że zdobył się na tak jasne przedstawienie sprawy. Szkoda tylko, że tak mało do książek zagląda i nie wie o tym, że już dawno Indianie przestali być dzikimi ludźmi, a nawet — o zgrozo — pozwolili sobie na własnego pisarza, bardzo ciekawie opisującego zjawiska przyrodnicze, a między innymi i bobry, wykazujące o wiele wyższą inteligencję od posiadanej przez „licealistę".

Reasumując powyższe wywody, pozwalam sobie na złożenie prośby w imieniu równych mnie grypsiarzy, zestawione w następujących punktach:

1) Szanowni koledzy literaci, dopuśćcie nas niedouczonych grypsiarzy do źródła wiedzy i umożliwcie nam możność upowszechniania kultury.

2) Szanowni Krytycy, krytykujcie ostro i szczerze nasze myśli i poglądy, ale zostawcie nasze osoby i nasze rodziny w spokoju. Nie nasza wina, że mniej od Was umiemy. Przyznajemy Wam prawo do naszych prac i artykułów ale nie naszych osób.

3) Szanowni Wydawcy, poza dbałością o swoje budżety, zadbajcie i o wydawnictwa, które by nas uczyły i dla naszej kieszeni były dostępne. W obecnych cenach, dostępne są książki tylko dla zamożnych.

4) Szanowne Redakcje, odrzucając artykuły do kosza, bądźcie łaskawe podawać autorom przyczyny, jakimi się powodujecie. O wiele trudniej jest artykuł napisać, aniżeli go unicestwić. Na błędach jednego winien się autor uczyć opracowując następny.

5) Szanowna Redakcjo „Wsi" nie gorsz się błędami zawartymi w naszych artykułach, ale jak kokosz kurczęta, tak Ty przytul nas do siebie. **Ucz i wychowuj przodowników wsi. Poprzez rzeczowa dyskusję cierpliwie zwracaj nas z fałszywej drogi i wskazuj drogę prawdziwą.**

Do wszystkich grypsiarzy: — dyskutujcie z poglądami a nie z osobami. Nie jest miłe dla czytelnika przysłuchiwać się osobistym wycieczkom czy przycinkom.

Porąbka, dnia 14 stycznia 1949 roku.

POLEMIKI

Genowefa Szturchaniec

„SKAMANDER" REDIVIVUS?

Mniej więcej 30 lat temu w endeckich kręgach Warszawy wrzało. Późniejsi Skamandryci robili „rewolucję". Z estrady „Picadora" padały słowa grzmiące i groźne. Pamiętano wczesny skandal wokół „Wiosny" Tuwima. Konfiskata pierwszego nakładu „groźnej" „Czarnej wiosny" Słonimskiego — przemyconej zresztą bez większych skrótów w tomiku „Parada" (1920) — stała się głośna dzięki skamandryckim atakom na cenzurę. Wystąpienia młodych poetów uzyskały dzięki zgodnej akcji



klerykalno - endeckich pisemek nalepkę „komuny" i „bolszewizmu".

Legenda ta wymagałaby niewątpliwie rewizji.

Ówczesna sytuacja społeczna Polski każe zlokalizować ten „rewolucjonizm" bynajmniej nie na istotnej lewicy układu sił politycznych. W rewolucyjnej atmosferze lat 1918 — 23 radykalizacja pewnych grup inteligencji mieszczańskiej wydawała się niewątpliwą. W Polsce „światoburcze" żywioły inteligenckie prócz haseł antywojennych głosiły zasady reformizmu, skierowanego przeciw nadużyciom wielkiego kapitału. Aprobata państwowości polskiej i walka z nadużyciami — to istota politycznej marszruty „Skamandra". Sojusz z ruchem robotniczym był pozorny. Skamandryci nie byli w stanie dostrzec we właściwych wymiarach proletariatu i jego walki. Dynamikę rewolucyjną dorobili drobnomieszczaństwu. Upatrywano ją w nienawiści tzw. „niższych sfer", systematycznie upokarzanych niedostępnością stopy życiowej bogatego mieszczaństwa:

„Ta gorycz wzbiera u fryzjera,
przed którym dama się rozbiera,
patrząc na niego jak na mebel..."

pisał Antoni Słonimski.

Kierunek dynamiki rewolucyjnej w twórczości Skamandrytów wyznaczały więc psychologistycznie pojmowane kompensacyjne dążenia drobnomieszczaństwa i protest przeciw konwenansowi obyczajowemu. Dążnościom tym patronowały echa Wielkiej Rewolucji Francuskiej i kostiumologia burżuazyjnej walki o wolność. W takich wymiarach dostrzegali Skamandryci rewolucję społeczną. Termin „lud" w poezji ich znaczył tyle, co drobnomieszczaństwo i lumpenburżuazja.

Drobnomieszczanin przez furtkę rewolucji wszedł do poezji „Skamandra", by nie opuścić jej już do ostatka. Stał się organizującą siłą poezji Skamandrytów, najtrwalej jednak zadomowił się w twórczości Tuwima.

Męczeńskie życie drobnomieszczanina dostarczyło schematu losu ludzkiego większości wczesnych wierszy Tuwima. Tragedia Płaksinów, tęsknota do małego miasteczka, typ sentymentalnej erotyki wspomnieniowej — to indywidualny wyraz drobnomieszczańskiego adresu poezji Skamandrytów.

W późniejszym okresie twórczości Tuwima — w epoce jego ewolucji w kierunku izolacjonizmu społecznego, w kierunku ekskluzywnej poezji „zieleni" — elementy krytyki mieszczaństwa („Straszni mieszczanie...") współistnieją z dawnym chwytem widzenia chaosu świata w kategoriach pojęć fryzjera. Nie darmo Teodor Bujnicki sparodiował trafnie tytuł „Biblii cygańskiej" — była to istotnie „biblia mieszczańska" wielkiego poety.

Powojenna twórczość Tuwima, treść zapowiedzianego nowego tomu wierszy stanowi dotychczas tajemnicę. Milczenie swe przerwał Tuwim publikując w 3 (216) N-rze „Odrodzenia" wiersz pt. „Ab urbe condita".

Założycielko! Pionierko! Muzo!
Dziś—stuk i łomot w całej Warszawie
Ku twojej sławie!
Dziś każdy murarz każdą nową cegłą
Pomnik twój wznosi! —

grzmi dytyramb ku czci człowieka Odbudowy, adresowany jednak po staremu do warszawskiej paniusi...

Bo społeczna przekupka jest tu przecież, jak za dobrych czasów Kilińskiego, symbolem bohaterskiego „ludu" Warszawy. Okrzyk „do chierbaty, do świeżego ciasta" wieńczy niestety u poety rewolucję 1944—5 roku. Niegdyś chcieli Skamandryci przy dźwiękach Marsylianki reżyserować swą rewolucję społeczną z r. 1918.

Zmonumentalizowana paniusia z rogu Marszałkowskiej patronuje u Tuwima warsztatom łódzkim („sława!"), śląskim kopalniom i hutom („sława, sława!"). Gdyby tak miało być, byłaby to wręcz przerażająca wizja triumfu wroga klasowego.

Paniusia, która robiła zasłużoną karierę jako markietanka napoleońska lub jeszcze nawet w r. 1861 jako uczestniczka manifestacji patriotycznych, osobliwie wygląda w roli Muzy Polski Ludowej. Kobiecinka ta odznaczała się bowiem zawsze zdrowym rozsądkiem i nie działała wbrew własnym interesom. Dziś we Wrocławiu i Szczecinie („miastach wojewódzkich — sława, sława!") bywa wprawdzie Pionierką, lecz Komisja Specjalna zdradza na ogół mało zrozumienia dla jej „założycielskiej" działalności.

Coraz ciaśniej Muzom drobnomieszczaństwa. 17 stycznia 1949 r. minął już bowiem ab urbe condita — rok czwarty.

Józef Piątek

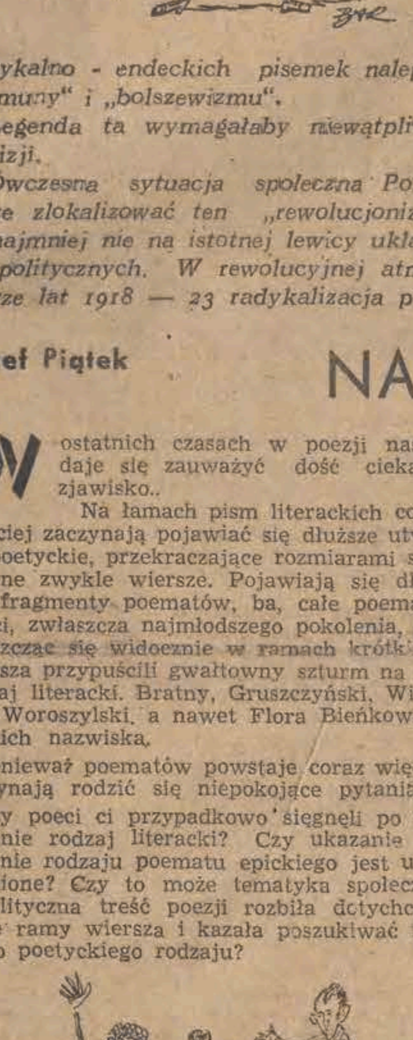
NA DRODZE DO POEZJI POLITYCZNEJ

W ostatnich czasach w poezji naszej daje się zauważyć dość ciekawe zjawisko..

Na łamach pism literackich coraz częściej zaczynają pojawiać się dłuższe utwory poetyckie, przekraczające rozmiarami spotykane zwykle wiersze. Pojawiają się dłuższe fragmenty poematów, ba, całe poematy. Poeci, zwłaszcza najmłodszego pokolenia, nie mieszcząc się widocznie w ramach krótkiego wiersza przypuścili gwałtowny szturm na ten rodzaj literacki. Bratny, Gruszczyński, Wirpsza, Woroszylski, a nawet Flora Bieńkowska oto ich nazwiska.

Ponieważ poematów powstaje coraz więcej, zaczynają rodzić się niepokojące pytania:

Czy poeci ci przypadkowo sięgnęli po ten właśnie rodzaj literacki? Czy ukazanie się obecnie rodzaju poematu epickiego jest uzasadnione? Czy to może tematyka społeczna i polityczna treść poezji rozbiła dotychczasowe ramy wiersza i kazała poszukiwać nowego poetyckiego rodzaju?



Czy też może nazwać to artystycznym buntem najmłodszego pokolenia poetów, którzy zdecydowanie zapragnęli przeciwstawić się estetyce starszego pokolenia poetów?

Jednym słowem, jakie jest źródło tej epiki?

W tzw. okresie międzywojennym, czyli od r. 1918—1939, wtedy, gdy poezja polska przeżywała bezsprzecznie bogaty i barwny okres rozwojowy — poematów prawie że nikt nie pisał. Najwybitniejsze grupy poetycie, jak np. „Nowa Sztuka", formiści krakowscy i „Skamandryci" przeciwstawiając się estetyce „Młodej Polski" walczyły każda na swój sposób o oszczędność poetyckiego wyrazu o kondensację poetycką. Rozgadaniu Kasprowicza przeciwstawiano zwartą konstrukcję wiersza. Przypadkowym, dowolnym metaforom — oszczędną elipsę. Nie mogło być mowy o poematach pośród poetów „Nowej Sztuki" i poetów „Zwrotnicy". To co nawet próbowali oni nazwać poematem, było raczej cyklem skondensowanych, niekiedy przesadnie nawet skondensowanych wierszy. Próby poematów Słonimskiego nie były ani charakterystyczne dla tego poety, ani też bynajmniej nie oznaczały jego szczytów poetyckich. Jeden z lepszych poematów tego okresu „Słowo o Jakubie Szeli" Brunona Jasieńskiego, powstał pod wyraźnym wpływem Jesienina, i pomimo swoich bezsprzecznych poetyckich zalet był utworem niezbyt dobrze skonstruowanym, w którym obce wpływy nie zawsze artystycznie przetrawione rozbijały koncepcję utworu. Jedynie tzw. „Czartakowcy" tj. poeci, którzy grupowali się w swoim czasie wokoło Emila Zegadłowicza, sypali jak z rękawa poematami. Spóźniony ekspresjonizm niemiecki, młodopolszczyźniana technika poetycka i pseudoludowość, będąca wyrazem typowego prowincjonalizmu poetyckiego pozwalała na nieskrępowany rozlew słowny. „Czartakowcy" już wówczas stojąc na uboczu literatury nie tylko nie zrozumieli tego wszystkiego, co przynosili poeci „Nowej Szuki" albo nawet „Skamandryci", lecz przeciwstawiając im rozgadaną, nieskoordynowaną „lirykę" opartą na religijnych motywach — nie potrafili stworzyć ani jednego wartościowego utworu. Cała ich twórczość już w tej chwili interesować może jedynie historyków literatury. Po r. 1945 prób pisania poematów prawie nie było. Julian Przyboś na łamach „Odrodzenia" przesadnie być może gromił wszystkie przejawy rozgadania poetyckiego. Wiersze, jakie ukazywały się w tym okresie, były nad wyraz skondensowane, element konstrukcyjny stawał się w nich bodajże zasadniczym elementem utworu. Zwięzłość i kondensacja charakteryzuje również większość utworów wybitniejszych poetów „Kuźnicy", jak np. Ważyka albo Jastruna. To samo zauważyć można w twórczości Miłosza, Zagórskiego i innych.

Próbą raczej chybioną były fragmenty epickie Stanisława Piętaka „Partyzant i dziewczyna", w których nowelkowatość akcji połączona była z prozatorskim tokiem opowiadania. Czytaliśmy również fragmenty poematu Juliana Tuwima „Kwiaty polskie", ale wynikły one z zupełnie odmiennego niż u naszych młodych poetów nurtu tradycji literackiej. Wydaje się, jeśli wolno sądzić z fragmentów, że będzie to nowa stylizacja staropolskiej gawędy — mieszaniny elementu wspominania „dawnych dobrych czasów" i humorystyki z łezką.

I oto w roku 1948 nagle jak z rękawa zaczynają się sypać poematy. Jak wytłumaczyć taki bujny urodzaj? Sądzę, że tzw. hasło uspołecznienia poezji, upolitycznienia jej wniosło nazbyt wiele treści, które nie mogły się zmieścić w ramach konstrukcyjnych zwykłego wiersza. Tylko, że te nowe wartości okazały się nazbyt dynamiczne. Oszczędność wyrazu poetyckiego zastąpiono słowolejstwem, gadulstwem. Słaby, trzymany w ryzach surowych poetyckich rygorów wiersz, zaczął się rozrastać i pęcznieć jak gąbka nasiąkła wodą. To jedno. Drugą przyczyną może być nazbyt chaotyczne szukanie wzorów poetyckich. Jeśli się przyjrzeć bliżej tym poematom, dostrzeżemy przedziwną mieszaninę wpływów. Od Niedogonowa, Kirsanowa, Majakowskiego, rozpuszczonych w post-ekspresjonistycznym sosie, z Jesieninowską przyprawką, aż do bezpośrednich wpływów poezji francuskiej, no i rzecz jasna łacińsko-amerykańskiej. W ten sposób poetykę Pablo Nerudy wmontowaną w technikę poetycką Eluarda połączono z retoryką Majakowskiego, z charakterystycznym dla poezji rosyjskiej ostatnich czasów ludowym gawędziarskim tonem. Ten właśnie ton ludowości naśladuje Woroszylski stwarzając dysonans między zamierzoną rewolucyjną treścią, a przyjęciem zapóźnionego u nas schematu ludowej gawędy. Panegiryczny wydźwięk poematów Kubiaka połączony z rozlewnością poetycką wytworzył u tego poety pewien hiperboliczny gatunek metafor. Niezbyt surowa odpowiedzialność za wyraz poetycki wytwarza często przypadkowość w doborze słowa. Zjawisko takie staje się charakterystyczne zresztą nie tylko w poematach ale też i w krótkich wierszach panegirycznych, jak np. u Wygodzkiego, który buduje niekiedy zwrotki złożone z samych rzeczowników lub przymiotników, które nic pod względem poetyckim nie znaczą i z łatwością mogą być zastąpione każdym innym słowem. Nawrót do Majakowskiego jest zrozumiały i mógłby być bezsprzecznie twórczy, gdyby był dialektyczny a nie mechaniczny. Gruszczyński i Bratny podpatrują tylko jego technikę, jego „chwyty poetyckie", a przecież tego rodzaju nawrót nie może być nigdy twórczy. Majakowski jest zjawiskiem niepowtarzalnym. Wyrósł w określonej epoce i wielkość jego między innymi polega na jego oryginalności, na tym, że jest jedyny. Można się na nim uczyć, należy go analizować, ażeby zrozumieć, na ile odmienną drogą kroczyć powinien w naszych czasach poeta, który chce być naprawdę politycznym pisarzem.

Piotr Pigwa

ORGANIZACJA KULTURY W TIUTIURLISTANIE

W 52/53 numerze „Odry" zwraca uwagę artykuł Juliusza Nowak-Dłużewskiego pt. „O politykę kulturalną ośrodków prowincjonalnych". Wynika z artykułu, że źle się dzieje z organizacją kultury na naszej prowincji, szczególnie zaś w Kieleckim. P. Dłużewski wywodzi się właśnie z kielecczyzny i póki tam przebywał, głosu na temat organizacji kultury na tym terenie nie zabierał. Widocznie było dobrze. No, ale teraz, po jego wyjeździe jest źle. Wojewódzki Urząd Kultury i Sztuki organizuje nie kulturę, tylko mgławicę.

A jak kulturę organizować? Aby sobie na to tak ważne pytanie odpowiedzieć, streścimy wykład autora wspomnianego artykułu.

Najważniejszym problemem w organizacji kultury jest problem personalny, sprawa wynalezienia osoby „rozumnej, światłej, taktownej i — co rzecz ważna — z charakterem". Program pracy to dopiero druga rzecz. Wynaleziona osoba zorganizuje w podległym jej terenie tyle ośrodków kulturalnych, ile było. Nie więcej, bo zawiśnie „taktycznie w powietrzu".

„Oczywistą jest rzeczą — pisze p. Dłużewski, — że przy takim postawieniu sprawy 1) tyle musi powstać programów polityki kulturalnej, ile mamy tradycyjnie twórczych naszych ośrodków lokalnych; 2) każdy program musi mieć oblicze odrębne, indywidualne, niepowtarzalne...".

Bo w Polsce co kawałek to inna kultura.



P. Dłużewski dokonał tego odkrycia jeszcze nim umieścił w „Odrze" artykuł, którym się zajmujemy, kiedy pisał książeczkę pt. „Udział regionu kieleckiego w kulturze narodu". Znalazł mianowicie, że bujność, „dynamizm typu duchowego", „przekrój dziejowy psychiki chłopa" i szlachcica świętokrzyskiego jest odrębny, niepowtarzalny, jakiego w sąsiednim regionie się nie znajdzie. I w ramach regionu co kawałek — inna kultura. Bo gdyby była jednolita, nie zalecałby p. Dłużewski tworzenia większej ilości odrębnych, niepowtarzalnych planów organizacji kultury.

Jeżeli jednostek rozumnych, światłych i taktownych zbierze się więcej, należy powołać do życia specjalne instytucje dla badania kultury. Jakie instytucje? Jasne, że takie, które już były, inaczej rzecz by zawisła w powietrzu.

W kielecczyźnie np. można by wznowić działalność Towarzystwa Krajoznawczego, wznowić inwentaryzowanie zabytków poszlacheckiej kultury, wieszać wizerunki zamków, pałaców i kościołów na ścianach muzeów, podglądać chłopów na weselach, słowem odgrzebać tradycję ludomańskiego regionalizmu. No, bo to już było.

Teraz już wszystko jasne. Teatry robotnicze, domy ludowe, świetlice, biblioteki gminne, chóry robotnicze (częstochowski z woj. kieleckiego odniósł szereg sukcesów nie tylko w regionie ale i za granicą), ogniska kultury plastycznej na prowincji, kluby literackie, objazdowe wystawy malarskie — to wszystko jest mgławicą, wiszącą w powietrzu. Dlatego, że historia, tradycja kulturalna podobnych instytucji nie znają.

Naczelnicy Wojewódzkich Wydziałów Kultury i Sztuki, opamiętajcie się póki czas! — Porzućcie walkę o jednolitą kulturę, otworzenie nowych jej ośrodków Pan Dłużewski chyba przekonał wszystkich, że nie ma ona sensu.

Myślę, myślę i nie mogę wymyślić — skąd taki artykuł w „Odrze". Bo, że jest pismem regionalnym, o tym wiedziałem zawsze. Czyżby i schroniskiem dla regionalistów, którzy już byli? I to conajmniej 50 lat temu.

FAKTY i ZDANIA

Sprawa Mindszenty'ego

W czasie wojny kardynał Mindszenty mówił, że „możemy być dumni z naszych młodych żołnierzy. Młodzież nasza ożywiona bohaterskim, bojowym duchem swych przodków broni europejskiej kultury przed bolszewizmem“. Po klęsce hitleryzmu pisał do premiera Węgier prosząc o łaskę dla przestępców wojennych: „Ani prawo, ani sprawiedliwość nie pozwalają potępić hitlerowców za czyny, które w okresie ich dokonywania nie były zabraniane przez żadne ludzkie lub boskie prawo“.

O demokracji ludowej na Węgrzech mówił zaś: „Warstwa węgierskich właścicieli ziemskich, jedyna warstwa zdolna do przewodzenia narodowi ze względu na swoje bogactwa, kulturę — została pozbawiona możliwości egzystencji“. Mindszenty bronił najprzód hitlerowców, potem obszarników (obrona pierwszych wynikała z obrony drugich) w końcu zaś. Poseł U.S.A. na Węgrzech Artur Shoenfeld potwierdził współpracę Departamentu Stanu z Mindszentym. „Listy nasze z 12 grudnia i z 16 grudnia dotyczące spraw wewnętrznych Węgier domagały się pomocy rządu Stanów Zjednoczonych w celu zmiany pewnych warunków, które wasza Eminencja potępia“. Droga Mindszenty'ego prowadziła konsekwentnie od współpracy z adm. Horthym i hitleryzmem do współpracy z Departamentem Stanu.

Zdrada jest wyraźna. Uwięzienie Mindszenty'ego jest słuszne. Nie dziw, że nikt nie waży się go bronić.

K. S.

Na pochyłej drodze

Ciekawy artykuł Zofii Dąbkowskiej „Pewna powieść francuska“ zamieściło w ostatnim (4 (217)) numerze „Odrodzenie“. Jest to recenzja i zarazem streszczenie powieści francuskiej „Comme un vol des Gerfauts“ — Françoise d'Eaubonne.

„D'Eaubonne próbuje rozszyfrować psychikę i światopogląd młodych, którzy z Niemcami nie walczyli — pisze autorka — „Zapatrywania autorki są reprezentatywne dla twórców, którzy zerwali z racjonalistyczną i demokratyczną tradycją zrodzoną we Francji przez wielkie ruchy ludowe XVIII i XIX w.“

Akcja książki rozgrywa się na przełomie XVI i XVII w. w Anglii, Indiach, na oceanach Atlantyckim i Spokojnym. Jest to okres wojen religijnych i narodowo - wyzwoleńczych.

„Bohaterów (w powieści) jest właściwie dwóch, dopełniających się wzajemnie i tworzących razem (zdaniem d'Eaubonne) człowieka przez wielkie C, swoistego współczesnego „Ecce homo“. Bohaterzy ci, to dwie odmiany typu zdeklasowanego inteligenta. Van Sterteen — bierny agnostyk - rezoner i Saint Benoist — cyniczny konkwistador: oto jedyne postaci, które wyłowiła autorka z wielkiej zawieruchy dziejowej, z klęsk i zmagań społecznych przełomowych lat Reformacji.

Credo autorki zostało szerzej rozwinięte w posłowiu.

Po pierwsze: „Życie trwa zawsze, nic nie „przemija“ ani nie „zjawia się“ w najbardziej nawet ożywionym istnieniu, a crescendo wypadków jest tylko wynalazkiem powieściopisarzy. Ta sama nicość, która pochłonie nas, pochłonie zapewne zarówno klęskę jak chwałę“...

A więc negacja rozwoju zarówno w życiu jednostki, jak w życiu społecznym (pesymizm). Ta postawa autorki znajduje wyraz nie tylko w epilogu i w wypowiedziach bohaterów, ale w budowie fabuły powieści. Wódz i towarzyszące mu jednostki wyrywają się co prawda ze współczesnego zamętu społecznego, wznosząc się ponad ludzkość, stają się założycielami nowego społeczeństwa, ale społeczeństwo to, jak się okazuje, wcale nie jest doskonalsze od tego, którym wzgardzili. W triumfie Oldhorse'a tkwi i jego klęska.

Po wtóre: do czynu, do twórczości, do życia popycha nas nieunikniony i wieczysty fatalizm praw biologicznych. One rodzą walkę.

Agnostycyzm filozoficzny i cynizm w dziedzinie moralności, antyhistoryczna, odrzucająca rozwój analiza przeszłości, wulgarny biologizm tłumaczący zjawiska społeczne prawami rządzącymi światem zwierzęcym, przeniesionymi żywcem na ludzkość, kult silnej indywidualności, wodza jednego spośród milionów, który dzięki swej woli wyłamuje się z więzów biologii i więzów społecznych wznosząc się ponad dobro i zło, który jeden może drepczącą w kółko historię zmusić do galopu na oślep, przed siebie — oto w wielkim skrócie system myślowy d'Eaubonne. I nie tylko d'Eaubonne. Oto system myślowy pewnego odłamu inteligencji francuskiej“.

Jest to bez wątpienia system myślowy pewnego odłamu inteligencji francuskiej. Ale jest to też — ten fatalizm i pesymizm, to zagubienie w ginącym świecie burżuazji, w anarchii życia kapitalistycznego — system myślenia całej inteligencji burżuazyjnej. Powieść d'Eaubonne jest tylko poszczególnym exemplum tego głębokiego pesymizmu i dekadentyzmu pesymistycznych, dekadenckich, wyrażających gnicie kapitalizmu —publikacji, publikacją jedną z wielu w tym duchu pisanych, które pojawiły się na rynkach krajów burżuazyjnych — w Niemczech, w Anglii, we Francji, w Ameryce. To jest exemplum rozkładu kultury burżuazyjnej

K. S.

„O pięciu panach Sulerzyckich“

Szanowni Koledzy!

Wraz ze mną mieszka przez ścianę pięciu starych kawalerów. Wszyscy pracują w rozmaitych urzędach naszego miasteczka. Jeden, inżynier rolny, dawniej naczelnik Urzędu Ziemskiego, eks-ziemianin, obecnie pracownik Wydziału Rolnego. Drugi — specjalista od melioracji. Zdrenował przed wojną sporo szlacheckiej ziemi, między innymi — majątek inżyniera rolnego. Trzeci pracuje w Wydziale Kultury i Sztuki jako znawca antyków. Czwarty był lekarzem z szeroką praktyką, gdzieś na wileńszczyźnie, obecnie siedzi w Wydziale zdrowia i urzęduje. Piąty to ja, referent w Wydziale polityczno - społecznym przy Starostwie.

Połączyła nas decyzja Urzędu Mieszkaniowego i oto co wieczór schodzimy się w pokoju kolegi eks - ziemianina i dyskutujemy jak powiada nasz inżynier — „de publicis“.

Moi czterej koledzy stanowią jednolity front opozycji przeciw Państwu Ludowemu i wszelkim jego osiągnięciom: a mnie — jako członka Zjednoczonej Partii nazywają „reżimowcem“

Gdzieś do połowy ubiegłego roku przypominali moi współtowarzysze „białych“ emigrantów rosyjskich. Nie interesowali się w ogóle tym, co się w kraju robi, bo to i tak (zobaczysz pan — za kilka miesięcy) miało lada chwila coś gwałtownie zmienić.

Natomiast zapraszano się chętnie do siebie — „jak już będzie po wszystkim“. Eks-ziemianin — do swego majątku. Przewidziano nawet dla mnie jakąś skromną posadkę.

W ostatnich czasach sytuacja zmieniła się. Szybko postępująca odbudowa kraju, imponujące wyniki klasy robotniczej, na każdym kroku widoczny wzrost stopy życiowej obywatela — to wszystko zmusiło moich kolegów do bezpośredniego atakowania Polski Ludowej.

Któregoś dnia oświadczył nasz inżynier - meliorant, że z tą podwyżką pensji to jeszcze jedna propagandowa bujda. Pisze się i mówi ale w portfelu „szarego obywatela wzrostu dochodu społecznego — zupełnie nie widać“.

Tymczasem od stycznia dostał poważną podwyżkę.

Wtedy drugi inżynier zaatakował gospodarkę planową. Powiedział mianowicie, że przemysł w stroju socjalistycznym nie zostawia sobie klapy bezpieczeństwa, jaką jest prywatna inicjatywa. Bo plan produkcji jest kostyczny Jak się o czymś w planie zapomni, to się tego za rok już nie kupi. Gdyby natomiast istniał przemysł prywatny, ten zawsze robiłby to, czego nie produkuje państwowy. I uśmiechając się złośliwie pod moim adresem zapytał: a ołówki, tusze, papier i ekierki do kreślenia — pan mi przyniesie?

Zląkłem się w pierwszej chwili, ale wszystko to bez trudu dostałem i przyniosłem zdumionemu koledze.

Jestem stałym czytelnikiem „Wsi“. Zbywa mi trochę na talencie pisarskim. Zresztą walczę z panami Sulerzyckimi w swoim miasteczku. Zaglądajcie i Wy na prowincję, do naszych urzędów. Wy możecie daleko lepiej i w znacznie szerszym zakresie bić wrogów naszego Ludowego państwa. Bo przecież Polska to jeszcze niestety w większej części prowincja.

Przyjmijcie pozdrowienia
B. K.

12. II. 49 r.

„Nieuchwytny Jacques“

Otrzymaliśmy od naszego korespondenta zdjęcie Jacques'a Duclos'a z dedykacją, świadczącą o żywym zainteresowaniu czołowych działaczy K.P.F. polską prasą literacką.



Jaques Duclos

Jacques Duclos nie jest typem romantycznego bohatera. Jest niskiego wzrostu, w okularach, zawsze uśmiechnięty i nadziany dowcipami. Jego biografia mogłaby posłużyć za temat do powieści. Swą karierę rozpoczął Duclos w piekle Verdun. Wyszedł z tej bitwy zdecydowanym pacyfistą i stał się wraz ze swym bratem Jean Duclos (również deputowanym, który w rezultacie ran przeszedł 22 operacje twarzy i jest straszliwie zeszpecony) jednym z pierwszych członków i organizatorów komunistycznej partii Francji. Bracia Duclos, Paul Vaillant - Cunturier, Henri Barbusse, Raymond Lefebvre są w latach powojennych kierownikami stowarzyszenia byłych kombatantów i głosicielami haseł pokoju. Już na długo przed 1926 rokiem Duclos zmuszony był do przejścia w podziemie, gdyż za wystąpienia w obronie postępu społecznego i pokoju zapłacił 30-ma latami więzienia (biorąc łącznie). Lecz policja nie potrafiła nigdy go uwięzić. „Nieuchwytny Jacques“ nazywano w tym okresie Duclos'a, który umiał w najtrudniejszych momentach wyśliznąć się z rąk policji. Wyszedł z podziemia dopiero, gdy został wybrany deputowanym i zdobył w ten sposób nietykalność poselską. Jako detal można dorzucić, że wybrany został w XX rejonie Paryża, mając za kontrkandydata Paula Raynaud, mimo, że nie miał możliwości odbycia ani jednego zebrania przedwyborczego. Lecz prawdziwy rewanż wziął Jacques Duclos i komuniści w 1936 roku — w okresie Frontu Ludowego — gdy został wybrany wiceprezydentem Izby Deputowanych. We wrześniu 1939 roku znów rozpoczęła się praca podziemna i znów Duclos zamienił się w „nieuchwytnego Jacques'a“. Przez pięć lat kierował pracą nielegalnej partii komunistycznej. Ten niestrudzony i genialny organizator potrafił uczynić ze swej partii: „jedyną zorganizowaną i działającą we Francji podczas okupacji“. — Po wyzwoleniu Duclos, sekretarz P.C.F. jest wiceprezydentem Zgromadzenia Narodowego i szefem komunistycznej grupy parlamentarnej.

r.

List do redakcji

Dyrekcja Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi zwraca się do Szanownego Pana Redaktora w następującej sprawie:

W numerze 1/2 „Wsi“ z 1/8 stycznia **1949 r.** ukazała się notatka studenta Uniwersytetu Łódzkiego, A. Pawłowskiego zarzucająca Bibliotece kompletowanie czasopism małowartościowych (klerykalnych), a brak podstawowych czasopism społeczno-politycznych.

W związku z tym wyjaśniamy, że Biblioteka Uniwersytecka otrzymuje czasopisma polskie drogą egzemplarza obowiązkowego i z tego tytułu ma obowiązek gromadzenia **wszystkich** czasopism wychodzących na terenie Rzeczypospolitej. Od sumienności drukarni, na której ciąży według ustawy obowiązek nadsyłania druków, zależy punktualność ich kompletowania w Bibliotece.

„Nowe Drogi“, o które zabiegał A. Pawłowski, czytelnia **posiada w komplecie.** Ostatni numer 12 za miesiąc listopad—grudzień nadszedł 16 grudnia 1948 r. i wraz ze wszystkimi poprzednimi numerami wyłożony był na półkach.

Poza tym wyjaśnić należy, że na sali czytelnianej dyżuruje stale bibliotekarz, który służy informacjami w wypadkach wątpliwych czy niejasnych, względnie czytelnikom, którzy sami sobie poradzić nie mogą.

Dyrektor Biblioteki
Dr Helena Więckowska

W NUMERZE 4(183) TYG. „WIEŚ“ Z DNIA 23 STYCZNIA 1949:

KSIĄŻKI NADESŁANE

WYDAWNICTWO LUDOWE

Wacław Mrozowski — Liryki dolnośląskie, str. 5
S. Waldgard — Siły przyrody w służbie człowieka, str. 60
Jan Bojer — Ostatni Wikingowie, str. 288
Jan Bojer — Wielki głód, str. 246.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO - OŚWIATOWA „CZYTELNIK“

Tadeusz Borowski — Kamienny świat, str. 141
J. I. Kraszewski — Z siedmioletniej wojny, str. 297
St. Strumph-Wojtkiewicz—Emigranci, str. 205
Jean Freville — Twórcy socjalizmu naukowego, str. 258
Michał Szołochow — Cichy Don, str. 238
Janusz Klorner — W śniegach Himalajów (Bib. Rom. i Pow.), str. 64
J. Putrament — Rzeczywistość cz. I (Bib. Rom. i Pow.) str. 64.

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Adolf Sowiński — Ściegienny, str. 179
Jarosław Iwaszkiewicz — Chopin, str. 107.

RÓŻNE

Fenimoore Cooper — Szpieg, str. 339. **Wielka Księgarnia Wydawnicza.**
Jan Baranowski — Łąka skowronków, str. 92 **Nakładem Związku Zaw. Literatów Pol. Oddz. Śląski**
Kazimierz Koźniewski — Żywioły, 467 str. **Wydawnictwo Zach. Poznań.**

INSTYTUT WYDAWNICZY NASZA KSIĄŻKA

Jan Grabowski — Mazury i Warmia, str. 64.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ
REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98
Warunki prenumeraty: miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik“ — Łódź, Żwirki 2
D—032489